
ŻYDZI W POEZYI POLSKIEJ

ŻYDZI W POEZYI POLSKIEJ

ŻYDZI
W POEZYI POLSKIEJ

GŁOSY POETÓW O ŻYDACH

ZEBRAŁ

WŁADYSŁAW BEŁZA

WYDANIE DRUGIE

LWÓW
H. ALTENBERG
1906

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA'I SPÓŁKI.

WSTĘPNE SŁOWO.

W roku 1883 wezwany do zagajenia odczytów na dochód stowarzyszenia »Agudas achim« * we Lwowie, przedsięwziąłem w szeregu przykładów, illustrowanych utworami współczesnych nam poetów, opowiedzieć słuchaczom, jak kwestya żydowska przedstawia się w poezyi polskiej; jakich barw dobierali poeci nasi, do odmalowania typu żyda polskiego; jak go pojmowali i jak żywem współczuciem otaczali »wybrany lud Jehowy«, który biczowany nietolerancyą średnich wieków, znalazł wreszcie w Polsce, po długiej tułaczce, schronienie i oparcie.

W poezyi polskiej typy żydowskie przedstawiane są prawie zawsze dodatnio. W głosach poetów naszych drga owo sympatyczne dla nich współczucie, które w szlachetnem sercu mając źródło swoje, uszlachetniało nawet tak zwykłe i codzienne postacie, jak owego »Tandeciarza« w wierszu Syrokomli, lub biednego »Mośka« w prześlicznym poemaciku Włodzimierza Wolskiego.

* Przymierze braci.

Począwszy od drobnej bajeczki Jachowicza, którą przytaczam na wstępie, a skończywszy na wspaniałym koncercie Jankiela w Mickiewiczowskim »Panu Tadeuszu«, widzimy postać żyda przeprowadzoną przez wszystkie typy i przez całą skalę tonów, opiewanego przez pierwszorzędne talenta poetyckie.

Oprócz zamieszczonych tu wierszy, znam kilka dawniejszych pieśni o żydach, których jednak nie odszukałem w pamięci. Znaną mi była np. rzewna piosenka o bohaterskim »Berku«, który na czele tysiąca swoich współwyznawców zginął jako waleczny żołnierz na szańcach Pragi w 1794 roku. Znałem drugą, o innym Berku, który po ojcu nosił nazwisko Josielowicza, a po randze stopień dowódcy szwadronu ułanów polskich i poległ śmiercią walecznych w 1809 r. pod Kockiem *. Obudwu tych bohaterów pieśń ludowa podała wdzięcznej pamięci potomnych.

Pieśni te, jakoteż głosy późniejszych poetów, powszechnie były znane Polakom. Czy są, lub były znane żydom polskim; czy w dzień Sabatu nuciły je ku czci poległych współbraci córy izraelskie? nie wiem, a nie wiedząc, wolę je przypomnieć ich sercu i nakłonić do odszukania zaginionej nuty.

Nie umieszczam w tym zbiorku wierszy osnutych na tle dziejów biblijnych, których tyle prześlicznych, począwszy od Kochanowskiego a skończywszy na Ujejskim,

---

* W tem zdarzeniu hundcwockiem,
Zginął Berek pod Kockiem.

znajduje się w literaturze naszej, ani też przekładów z obcych poetów. To co tu daję, powstało z ducha i myśli polskiej i jest wyrazem opinii polskiej o żydach polskich. Znajdzie tu czytelnik i wylew szlachetnych uczuć w głosach Lenartowicza, Norwida, Gomulickiego, i potępienie swawoli szlacheckiej w gawędzie Szymanowskiego, i — by zupełną zachować bezstronność, dyszący tajoną zemstą zamkniętej na ohydnem »Ghetto« żydówki, wiersz Konopnickiej. Dla tej samej bezstronności, przytaczam wiersz Juliana z Poradowa (Elizy Tuszowskiej), w którym autorka kreśląc wzruszający opis »Cmentarza żydowskiego w Pradze«, przypisuje całą niedolę żydów temu, że umęczyli Chrystusa.

Nie podaję tu również wyjątków z dramatów polskich, choć bardzo mię nęciły piękne postaci Judyty w »Księdzu Marku« Słowackiego, Aarona w »Żydach« Korzeniowskiego, i Racheli w »Weselu« Wyspiańskiego, gdyż to już inna gałąź literatury i za obszerne pole dla ram niniejszej książeczki.

Nie przytaczam tu wreszcie głosów poetów polskich mojżeszowego wyznania; nie dla tego jednak, bym do nich mniejszą, niż do tamtych przywiązywał wagę, ale dla tego, że stanowią one dział odrębny, mający całkiem różne od tego zbiorku znaczenie.

Czynię wszakże wyjątek dla wierszyka p. J. A. Cohn'a, drukowanego w r. 1863 w »Gwiazdce« Dzwonkowskiego, który swojego czasu żywe wywołał zajęcie w kołach warszawskiej młodzieży szkolnej. Jako wspomnienie tych czasów, których naocznym byłem świadkiem, jako pa-

miątkę wreszcie po autorze, który podobnoś na Syberyi odpokutował swoje przywiązanie do Polski — kładę go na zakończenie niniejszej przedmowy.

Tytuł tego wierszyka brzmi:

GŁOS ŻYDA DO DZIECI POLSKICH.

Zdawna już na was, dziatki kochane!
W zakątku wiodąc skromny swój byt,
Jak na narodu zorze rumiane,
Z uczuciem rzewnem spoglądał żyd.

Chciał on wymówić co sercem czuje,
Czynami swymi pokazać rad:
Że swą rodzinną ziemię miłuje,
Że nieodrodny jej dzieci brat.

Lecz jak do miłej przemówić młodzi,
Gdy zdala od niej stawił go los?
Gdy w nim niepewność obawę rodzi:
Czy przyjmą chętnie ten serca głos?

Więc milczał... czekał sposobnej chwili,
A gdy czekaniu przyszedł już kres:
Dzisiaj radości on czarę chyli,
W miejsce goryczy i w miejsce łez.

I gdy zawiści przeszły już cienie,
Kiedy braterstwa połyska świt:
Dziś tobie dziatwo, na pozdrowienie,
Życzliwe słowa zasyła żyd!

Cel tej książeczki jasno się przedstawia: jej zadaniem jest iść w ręce żydów polskich; nieść im słowa bratniego przymierza; mówić im o zgodzie i łączności jednej ziemi dzieci; leczyć ich z nieuzasadnionych podejrzeń o uprzedzeniu Polaków do Żydów polskich i nauczyć modlić się słowami pięknej modlitwy, zamykającej niniejszą książeczkę, a napisanej dla Żydów warszawskich w pamiętnym roku 1861, w którym razem z nami wznosili oni modły za wspólną ojczyznę.

Idź więc w świat mała książeczko! Jak owa gołębica Noego, niosąca na skrzydłach gałązkę oliwną, nieś i ty słowa pokoju, zawarte w natchnionych głosach poetów polskich.

Władysław Bełza.

Nauczycielu! które jest największe przykazanie w Zakonie?

A Jezus rzekł mu: Będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego, i ze wszystkiej duszy twojej, i ze wszystkiej myśli twojej.

To jest pierwsze i największe przykazanie.

A wtóre podobne jest temuż: Będziesz miłował bliźniego twego, jako samego siebie.

Na tych dwóch przykazaniach wszystek Zakon i prorocy zawiśli.

Mathaeus, XXII, 36—40.

Najmilsi! miłujmyż jedni drugich, gdyż miłość jest z Boga; i każdy co miłuje, z Boga jest narodzony i zna Boga.

I. List św. Jana, IV, 7.

Jeśliby kto rzekł: Miłuję Boga a brataby swego nienawidził, kłamcą jest.

I. List św. Jana, IV, 20.

SPIS RZECZY.

GŁOSY POETÓW O ŻYDACH

ŻYDEK.

Szła ulicą dziecinka biedna, wynędzniała,
Oczki rączką zasłaniała;
Spostrzega to przez okno dobroczynna pani,
I chleba posyła dla niej.
Cieszy się już zawczasu myślą pięknej cnoty,
o cóż milej, jak ulżyć cierpieniom sieroty?
Wkrótce powraca z chlebem służąca zdyszana:
— Ach — rzecze — pani kochana!
To żydziak, a któż widział wspomagać żydziaka?
Dobrą panią uwaga oburzyła taka:
— Ale biedny — odpowie — wspomódz go potrzeba!
Idź, natychmiast mu zanieść ten kawałek chleba;
On bliźni, nic nie znaczy w wyznaniu różnica,
Wszak jednakowo słońce wszystkim nam przyświéca!

Stanisław Jachowicz.

GŁOS

W IMIENIU ŻYDA POLSKIEGO.

—

Cóżem ja winien, że mną po świecie,
Los nieszczęśliwy jak liściem miecie,
A za mną goni nieludzki zgrzyt:
To Żyd!

Jam Żyd — i dźwigam mój zakon stary,
I wierze przodków dochowam wiary;
Mnie w dumę wzbija rzekomy wstyd:
Żem Żyd!

Wy! co ciskacie na mnie kamieniem,
Zwróćcie się w własną przeszłość wspomnieniem,
W nadzieje wasze, w stracony byt:
Jak Żyd!

A wtedy, wspomnień skuci łańcuchem,
Pojmiecie może, jak trudno duchem
Od pogrobowych odbiegać płyt...
Jak Żyd!

I was, przed Boskiem kornych obliczem,
Jak nas, los mściwy smaga swym biczem,
My bracia wasi... Więc cyt, oh! cyt:
Żem Żyd!

Pracujmy wspólnie na ojców roli,
Na ziemi, co jest ziemią niedoli,
Aż nam się Raju uśmiechnie świt...
Jam Żyd!

Wszak wspólnie dzisiaj w życiu tułaczem,
Nad Jeruzalem straconą płaczem...
Więc niech umilknie ten ciągły zgrzyt:
Żem Żyd!

Jastrzębczyk.

ŻYDÓWKA.

—

I.

Od brzegów Afryki, od brzegów Hiszpanii,
Dwa razem okręty wybiegły z przystani,
Na błękit od słońca jaskrawy;
Wesoło majtkowie żeglują po wodzie,
Oh! niechaj się w swoim nie zdybią pochodzie,
O! Boże, te obie, te nawy!

Tam z masztów korsarskich lśni księżyc dwurożny;
Tu rabin z Kordowy, Ben Mojżesz pobożny,
Do braci w kraj płynie odległy;
Grosz darów pobożnych gromadzi po świecie,
A grosze zebrane w rabina kalecie,
Na kościół Jehowy to cegły.

Z nim młoda małżonka trud dzieli podróży,
Oblicza urodą podobna do róży,
Co kwitnie na błoniach Saronu,
A duchem swym smętnym, wyniosłym i czystym,

Do owych cór Judzkich, co bolem ojczystym,
Płakały u rzek Babilonu.

I siadł na pokładzie Ben Mojżesz z Rebeką,
To wzrokiem po fali, po złotej, powleką,
To w sobie oczyma utoną;
On mówi: — Jehowę niech język mój chwali,
Że dla mnie, tułacza, śród lądu i fali,
Dał luba — za namiot twe łono.

I mówił: — Najmilsza, już wkrótce mój święty,
Mój wielki cel życia, obaczę dopięty,
Ostatniej wędrówki to trudy;
Na ziemi wygnania, w hiszpańskiej Kordowie,
Wspaniały przybytek wystawi Jehowie,
Pielgrzymi, żebrzący syn Judy.

II.

Na nawie afryckiej, polotem obłoku,
Szybuje tymczasem El Hassan z Maroku,
Najchciwszy, najdzikszy z korsarzy;
Za łupem po fali oczyma pogonił,
Przed blaskiem słonecznym skroń ręką osłonił,
Na maszcie, jak mewa się waży.

— Jest połów! — wykrzyknął, na pokład się zsunął.
— Ho! hura, do wioseł! — jak orzeł już runął,
Na okręt pod flagą hiszpańską;

Daremny był opór, załoga spętana,
Ben Mojżesz uczony już jeńcem Hassana,
Rebeka już branką pogańską.

— Ho! połów nie lada! O piękna żydówko,
Nim sułtan mi za cię zapłaci gotówką,
Niech twoja uroda huryski —
Wprzód moje miłosne zapały ugasi...
Oh! cudnyż ten szkarłat co lica twe krasi,
I w oczach twych gniewu te błyski.

Pójdź do mnie! Pójdź do mnie! I w żądzach rozpasan,
Zuchwałem ramieniem już sięga El Hassan,
Już w swoich objęciach ją trzyma...
Krzyknęła, wydarła się z szponów korsarza,
Spojrzała jak lwica, co wzrokiem zatrważa:
— Ratunku!... — Ratunku tu nie ma...

Szyderczo się śmieją u wioseł eunuchy,
Szczęknęły u masztu rabina łańcuchy,
U stóp jej fal szumią otchłanie;
Więc z wzrokiem rozpaczy do męża się zwróci:
— Mojżeszu! Kto w morza przepaści się rzuci,
Czy w Panu ten zmartwychpowstanie?

Stał blady u masztu, bez głosu, bez ruchu,
Nie widać z oblicza tej walki, co w duchu
Sto uczuć to wznieci, to zgnębi,
Wzrok podniósł na żonę i spuścił na wodę,

I rzekł jej: — Pan mówi: »Ja z Bazan wywiodę,
Ja z morskiej wywiodę ich głębi«.

Skoczyła!... Rozbiegły — znów zbiegły się fale,
I kropel spienionych stubarwne opale,
Trysnęły ku słońcu i gasną;
I białych szat rąbek gdzieś mignął się jeszcze,
I zniknął i morze znów głucho szeleszcze,
I słońce przyświeca tak jasno.

Był wieczór... Przy maszcie stał rabin ponury,
Wzrok czepiał na nieba zachodnie purpury,
Na falę, co u stóp się kłębi;
Łzy gęste na gęstą spadały mu brodę,
On szeptał: — Pan mówi: »Ja z Bazan wywiodę,
Ja z morskiej wywiodę ich głębi«.

Adam Pajgert.

NA GHETTO.

Dzisiaj święto w Awinionie!
Dziś nastaje papież nowy.
Piękna Sarah żółtą wstęgę *
U biblijnej wiąże głowy.

Wczoraj jeszcze włos jej kruczy,
Turban stroił szkarłatowy,
Lecz dziś zmienić musi barwy,
Bo nastaje papież nowy.

Piękna Sarah, żona młoda
Uczonego kabalisty,
Zna z pamięci wszystkie prawa,
I żelazne wszystkie listy.

---

* Żydówki w Awinionie, obowiązane były za papiestwa nosić pewnej barwy wstęgi na głowie, która to barwa zmieniała się ze zmianą papieża.

Wie, że kiedy nad Rodanem
Zgaśnie cicho zorza złota,
Za jej ludem i po za nią,
Zatrzasną się czarne wrota...

Zatrzasną się z głuchym jękiem,
Jak trumienne, czarne wieko;
Zamkną stare, ciasne Ghetto,
Pod papieskich praw opieką.

Ją, jej ojca i jej dziada,
Co ma oczy ślepe, mgliste,
I jej męża suchotnika,
Uczonego kabalistę.

Wtedy liczą srebrne skudy,
Franczeskony złote znaczą,
I czytają księgę świętą,
I wieczerzę jedząc — płaczą.

A dziad stary wznosi głowę,
Broda biała mu powiewa,
I proroctwo Jeremiasza,
Przenikliwym głosem śpiewa.

O tych wielkich śpiewa czasach,
Kiedy wszelka pęknie krata,
Kiedy Ghetta już nie zazna,
Odrodzone plemię świata.

O potężnym wodzu śpiewa,
Co rozepchnie te wierzeje,
O tym wodzu co już idzie,
O dniu Pańskim, co już dnieje...

I podnosi obie dłonie,
I łzy z oczu ślepych biegą,
Kiedy woła tak do Pana,
Wielkim głosem Jeremiego.

Wtedy ojciec drżącą ręką,
Coraz prędzej skudy liczy,
Coraz prędzej zgarnia złoto,
Kabalista suchotniczy.

Zmierzch tak ciężki, noc tak długa,
Stare Ghetto pełne jęku...
Pod świecznikiem piękna Sarah,
Zwiesza głowę swą na ręku.

Jej biblijne oczy płoną,
Pięść jej drobna się zaciska,
A z granatu warg czerwonych,
Drobnych zębów ostrze błyska.

I na usta jej się tłoczą,
Jakieś groźby i przysięgi...
I chciałaby zerwać z głowy,
I podeptać żółte wstęgi.

I chciałaby, tak jak Jahel,
Wbijać gwoździe w skroń Sisary...
A tu z brzękiem złoto pada,
A tu śpiewa dziad jej stary.

Marya Konopnicka.

RABI PELALOJ BEN PEDAS.

(Z TALMUDU).

Płaczem zmęczony i znużony łzami,
Rabi na łoże padł i sen go zmorzył,
Skroń mu czarnemi musnąwszy skrzydłami.

I zdało mu się, że się strop otworzył
Nad nim niebieski i w światłości strudze
Zjawił się przed nim Ten, co wszechświat stworzył.

A jako ojciec zszedł ku niemu, słudze,
Z dobrocią wielką, i tak pełen łaski,
Jakby mu wszystkie gromy były cudze.

Rabi się przeląkł, a On złote blaski
Przyćmiwszy, rzecze: — Przecz cię płacz uwodzi?
I przecz w twem sercu postrzegam niesnaski?

Azali nie wiesz, że ten, co się rodzi,
Cierpieć tu musi i iść przez to życie,
Tak, jak się drogą pełną cierni chodzi?

— O Panie! jęknął rabi, we wszechbycie
Nie masz, w kogoby sroga losu ręka
Godziła nieszczęść ciosem tak sowicie!

Oto mój żywot jako jedna męka!
Stradałem wszystko i wróg mi w twarz miecie
Śmiechem szyderstwa, gdy mi serce pęka!

A wszakżem Panie, i ja Twoje dziecię
I w prawdziem chadzał przed Twojem obliczem,
Nad grzech niczego nie strzegąc się w świecie.

Więc jeśli Tobie krzyw nie byłem w niczem,
Za co los gorszy dałeś mi od wołu,
Twardym oracza smaganego biczem?

Zalim Ci modłów zaniedbał u stołu,
Przy którym jadam gorzki chleb z popiołem,
I piję wodę ze łzami pospołu?

Wszakżeś mię widział z zakrwawionem czołem,
Jakem przed Tobą kajał się w pokorze,
Nieznanych grzechów szukając z mozołem?

Zaco mię chłostasz tak, Zastępów Boże!? —
I łkał znów rabi... Jahweh promienisty
Rzekł zaś, dłoń wznosząc nad biednego łoże:

— Zaiste, jesteś w obliczu mem czysty
I nie masz żadnej na twem sercu skazy,
Więc w cenie jest mi deszcz twych łez rzęsisty.

A iżem srogie na cię zesłał razy,
Żal mi i radbym odmienił twą dolę,
Byś radosnemi mógł mię czcić wyrazy.

Lecz wiedz, że jedną, Ja Bóg, jeno wolę
Mam, i niezmienione są moje wyroki,
Co utwierdziły ład w stworzenia kole.

Nim się strop niebios rozpostarł szeroki,
Prawam zatwierdził wszechbytem rządzące;
Słowa me trwalsze są niż skał opoki.

I jednym torem odtąd wschodzi słońce,
Gwiazdy niezmienną odbywają drogę,
A księżyc równe odmierza miesiące.

Zmienić już tego, com rzekł raz, nie mogę!
Słońcu i gwiazdom iść przez bezmiar nieba,
Burzom, w gromową stroić się pożogę;

Wodom w dal płynąć, wichrom lecieć trzeba,
Śmiać się i płakać ludziom, zasię tobie
We łzach pożywać powszedniego chleba.

Lecz żal mi ciebie. I gdy chcesz, to zrobię
Dla ciebie nowy świat, a starą ziemię
Z bolem twym, zniszczę i pogrążę w grobie,

I wskrzeszę nową; nowe ludzkie plemię,
Nowy czas, wszystko! Na tym świecie może,
Lżejsze ci padnie dźwigać życia brzemię. —

Umilkł Jehowa. Rabi duma; gorze!
Ma li świat ginąć, by on był szczęśliwy,
Czy on ma dalej znosić ból w pokorze?

Wreszcie wzniósł czoło: — Pan i Bóg mój żywy!
Okazał łaskę nademną, robakiem,
Chcąc dla mnie zniszczyć swojej ręki dziwy!

Panie! niech słońce idzie swoim szlakiem,
Niechaj grzmią wieki jak spieniona woda,
Niechaj się niebo gwiazd zasiewa makiem,

Niech się wiosenna okwieca przyroda
I latem ryczą Twe czerwone burze:
Świat jest zbyt piękny, niweczyć go szkoda.

Raczej niech ja Ci w łzach i nadal służę. —

Jerzy Żuławski.

EL MOLE RACHMIM.

To było na podwórku żydowskiego domu,
W letni wieczór. Dostałem się tam pokryjomu.
— Wiara, zamiast jednoczyć, dzieli i oddala. —
Wśród murów poruszała się głów czarnych fala.
Żenił się Icek, waciarz, z tandeciarki córką,
A goście i ciekawi zalegli podwórko.
I miejsce było szpetne i ludzie zwyczajni.
Kilka zbudzonych gęsi gęgało przy stajni,
Na poręczach galeryi pościel się wietrzyła,
Z kuchni woń ryb skwarzonych płynęła niemiła,
A w kącie, dwie akacye marły na suchoty.
Niebo od gwiazd błyszczało, jak szabaśnik złoty,
Obłoków nie plamiła nawet chmurek wełna,
I noc była królewskiej wspaniałości pełna.
Icek stał pod szkarłatnym, starym baldachimem,
W odświętnych sukniach, światłem oblany i dymem.
Był to śniady wyrostek, pół-mąż, a pół-dziecko.
Miłość u żydów chwyta człowieka zdradziecko,
Z zamkniętemi oczyma wiedzie nad otchłanie,
I w objęcia kobiety rzuca niespodzianie.

Tłum składały powszednie postacie z ulicy,
Ludzie, których się widzi w dzień na targowicy:
Tandeciarze, faktorzy, przekupnie, tragarze;
Gorączka rozpalała brodate ich twarze,
A złociło je światło woskowych hawduli,
(Świeczek, w których się płomień do płomienia tuli,
Jak w plecionym z błyskawic mieczu archanioła).
Chwilami, nakształt kłosów chyliły się czoła.
Szwargotali, lecz obrzęd nie zdał się żadnemu
»Uroczystą śmiesznością«, jako Beaumarchais'mu.
Icek zakrył twarz chustką, a jeden z gromady,
Nie kapłan, lecz człek zwykły — bardziej tylko blady,
I smutniejszy od innych — wzrokiem wodząc wkoło,
Śpiewał. Pieśń, choć weselna, nie była wesołą.
Dwu chłopców kędzierzawych wtórzyło jej krzykiem,
A tłum cały szemraniem, pół-rzewnem, pół-dzikiem.

Patrzyłem na ten obraz ciekawie, lecz zimno.
Icek, choć skryty chmurą świetlaną i dymną,
I poważny na śmieciach jakby przed ołtarzem,
Był dla mnie tylko Ickiem, ubogim waciarzem.
I w innych nie widziałem nic poetycznego:
Zdawali mi się ludźmi zwykłymi, co strzegą
Z równą pilnością bród swych — jak wiary i mienia.
Próżno od blasków nowiu i od świec płomienia,
Śniade lica ich brały tajemnicze piętno:
Żaden nie nęcił twarzą natchnioną lub smętną.
Nagle, śpiew ucichł. Rzekłbyś, że rozwiał się w dali.
Otwarto z trzaskiem okno od weselnej sali,

Kędy oblubienica, pośród niewiast grona,
Siedziała płacząc. Chazen wzniósł nad nią ramiona —
(Chazen o skrzących oczach, z patryarchy brodą)
I wspomniał o jej ojcu, który umarł młodo,
I którego dziś brakło przy rodzinnem święcie...
Płacz na to powstał wielki, a on, przy lamencie,
Przy niewieścich szlochaniach i łamaniu dłoni,
Zawiódł pieśń, która nutą pogrzebową dzwoni:
»El mole rachmim...«

Naprzód, choć łzami wezbrana,
Pieśń płynęła spokojnie, niosąc do stóp Pana
Ból serdeczny, rozwagi wstrzymywany siłą;
Tak płacze syn dorosły nad ojca mogiłą.
Potem, przesiąkłszy smutkiem, który z grobów wieje,
Traciła po iskierce wiarę i nadzieję,
Rosła w moc i porwana zamętem boleści,
Topniała w łzach gorących i w skardze niewieściej.
Już nie jednej mogiły, lecz grobów miliona,
Stała się głośną płaczką i z bolu szalona,
Biegła nad cmentarzami zawodzić staremi,
Nad kośćmi Izraela, co po całej ziemi
Rozsiane są, jak piasku bezpłodnego ziarna,
I nad tem, że ta siejba będzie może marna,
I nad tem, że na grobach chwast wyrasta głuchy,
I nad tem, że skarlały słabe synów duchy,
I że ta noc niewoli tak długa, tak długa!...
Już jej nic nie więziło; rwała się, jak struga,
Kiedy po burzy w rzekę zmieni się spienioną;

Śpiewak miał iskry w oczach i drgające łono,
A czoło, które odkrył, w tył zsunąwszy czapkę,
Ciekło potem... Śpiew wzruszył nawet starą babkę,
Którą paraliż trupem uczynił i skałą;
Szkło jej źrenic, na poły martwych, zapotniało.
Wszyscy w izbie płakali zdjęci wielkim żalem;
A kiedy chazen wspomniał świętą Jeruzalem,
Matkę, która choć zdala białą twarzą świeci,
Od wieków już umarła dla swych pierwszych dzieci.
Gdy wspomniał bezlitośne losów okrucieństwo,
Nędzę, prześladowanie, tułactwo, męczeństwo,
I szczęście utracone na zawsze, na zawsze...
Boleść stała się żywszą, rany serca krwawsze,
Po izbie szał rozpaczy powiał tchnieniem dzikiem,
I zawrzała ogromnym, beznadziejnym krzykiem...
Słuchałem pieśni z łonem czułością wezbranem.
I ci ludzie, skarżący się głośno przed Panem,
Dumni wielką przeszłością, bólem wielkim śmieli,
Dziwnie wzrośli w mych oczach i wyszlachetnieli.

Nie widziałem już szpetnych plam na baldachimie,
Nie raził mnie strój Icka, ani Icka imię,
Znikła dla mnie powszedniość z tych brodatych twarzy,
I stałem się jak człowiek, co... na jawie marzy.

Podwórko... Nie, to była już kwietnia dolina,
Kędyś, u stóp Libanu, co się w niebo wspina,
I lasem ciemnych cedrów szumi, jakby śpiewał.
Księżyc na tę dolinę zdroje srebra zlewał,

Niebo ją nakrywało kryształowym dzwonem,
Pustynia przewiewała tchnieniem rozpalonem,
A palmy ochładzały wachlarzami z liści.
Między ziemią i niebem nie było zawiści;
Twarz Jehowy patrzyła z góry uśmiechnięta,
Błogosławiąc dolinę, ludzi i jagnięta;
Tłum wiernych szeptał modły i kłaniał się Panu,
W powietrzu pływał zapach nardu i szafranu,
Strumień, jak wąż, rozwijał srebrnołuskie sploty —.
A gwiazdy tak błyszczały, jak szabaśnik złoty...

Wiktor Gomulicki.

»El mole rachmim« (Boże pełen miłosierdzia). Od tych słów zaczyna się żydowska pieśń za umarłych. Podczas obrzędu ślubnego, jeżeli jedno z narzeczonych jest sierotą, pieśń tę odśpiewuje chazen, czyli kantor.

GŁOS ZELŻONEGO.

Com ja winien, że mnie słońce wschodu,
Niezatartem naznaczyło piętnem?
Com ja winien, że jak ojce rodu,
Dzieckiem zmysłów muszę być namiętnem?
Com ja winien, że ze krwią dziedziczę
Chytrą duszę i śniade oblicze?

Com ja winien, że przez średnie wieki,
Póty na mnie śliną wzgardy plwano,
Aż pociekła mi krew z pod powieki,
Aż me usta zabielały pianą,
Aż w szpetnego zmieniłem się gada,
Co się czołga, zanim ranę zada?

Com ja winien, że mi dawna chwała
Świeci jasno wskróś dziejowych mroków,
Że mi lice dziwnym ogniem pała,
Kiedy czytam natchnienia proroków,
Że mi od was serce się wyrywa,
Do świętego z przeszłością ogniwa?

Com ja winien, żem drzewem pustyni,
Co przywykło do żaru i blasku,
Że napróżno wysiłki kto czyni,
By me płonki utrwalić na piasku,
Żem z tych roślin, co tęskniąc za puszczą,
W obcą ziemię korzeni nie puszczą?

Wy! co na mnie podnosicie pięście,
Wprzód z przeznaczeń obliczcie się prawem,
Karzcie zbrodnię, odpuśćcie nieszczęście,
O zwycięstwie zamarzcie bezkrwawem —
Czy będziecie ze skargą stawali
Przeciw słońcu, powietrzu i fali?

Wiktor Gomulicki.

KSIĘGARZ ULICZNY.

Aksamitem i złotem świetnieją księgarnie,
Aksamitna publiczność po książki się garnie.
A księgarz ceniąc towar jako mu się zdawa,
Złocistemi wyrazy sypie jak z rękawa;
I nam, którzy do druku gotujemy skrypta,
Do spartańskiej polewki dana soli szczypta
Dzięki Bogu i za to; a czy pamiętacie,
Kiedy w pańskim pałacu i w szlacheckiej chacie,
Starczył za wszystkie książki wileński kalendarz,
A za wszystkie gazety wioskowy arendarz?
Dziś cała Litwa czyta, dziś wszystko jej znane,
Więc pytasz sam u siebie: kto sprawił tę zmianę?

Patrzcie! ja go wam wskażę. Przyparty do ściany
Stoi Żyd siwobrody, okryty w łachmany,
Oczy krwawe, zamglone, zgrzybiałość na twarzy,
Pod pachą kilka książek. To Nestor księgarzy!
Nie szydźcie z tej postaci! Lat sześćdziesiąt blizko,
Jak zajął przy tej ścianie swoje stanowisko
I przechodniom zalecał bibułę i szmaty,

Za miedzianą monetę dał złoto oświaty.
Gdy wielka pieśń i mądrość Hellady i Romy,
Górowała nad naszej mądrości atomy,
Kiedy w słowie Platona, w Horacego nucie,
Znajdowano Wielkości i Piękna poczucie;
On sprzedawał łacińską książeczkę in quarto,
Zabrudzoną z początku, a z końca odartą,
Sprzedał za kilka groszy i w dodatku powie:
— Niech pan czyta szczęśliwie, niech służy na zdrowie!
Zdrowież było w tych książkach! Słowo wrzące czynem,
Naczytawszy się Rzymian, byłeś Rzymianinem,
Duch olbrzymiał w potęgę, opływał w rozkoszy,
Za ubogą zapłatę kilkunastu groszy.
A nędzarz co to sprzedał, patrz, jak błogo leci,
Kupić czarnego chleba dla żony i dzieci;
Jak za ten czarny chlebek, plon swojego żniwa,
Panu Bogu dziękczynne psalmy wyśpiewywa!

Pogadajmy z nim sami. Wspomniał czasy młode,
Westchnął, oparł na kiju osiwiałą brodę,
Otarł czerwone oczy:
— Panicze! panicze!
Tyle dobrego zdrowia i setnych lat życzę,
Ile przez moje ręce przeszło za lat dawnych
Prawdziwych Elzewirów w pergamin oprawnych!
Czy to raz profesorska figura zgarbiona,
Płaciła po dukacie listy Cycerona?
Za Plautusa, choć prawda inkunabuł stary,
Pan Groddeck mi zapłacił aż cztery talary.

A ja tylko sprzedając ściskam ramionami,
Bo na co im te książki, kiedy piszą sami?

Rarytne były czasy, a książek ogromy,
Groddeck, Czacki, Śniadeccy, popisali tomy,
Dzieła choć naukowe szły jak asygnata,
Dużo ich sprzedawałem w staroświeckie lata!
Czy żyją, czy pomarli, daj Boże im zdrowie!
Kupowali je churmem akademikowie.
Nie jeden z nich dostąpił sławy literata,
Lub wielkiego lekarza przed obliczem świata.
Niejeden tego doszedł przez mego Homera,
Że dziś jeździ karetą i ubogich wspiera,
Toż wszystko moje dzieci! mogę mówić śmiało,
W moich to oczach rosło, w moich rozumniało.
A był to lud ubogi, obciążony pracą,
Niejeden chciałby kupić... a tu niema za co!
Niejeden — tych paniczów dobrze mam w pamięci —
Targuje, zwraca książkę, a łza mu się kręci.
To ja tak myślę sobie: — No, szkoda mi dzieci,
Dam na kredyt lub wzamian literackich śmieci,
Od Baki do Newtona wszystko mi się przyda,
A poczciwi panicze pokochali Żyda,
Grosz powoli, lecz ciągle, do worka się sączy,
Aż przyszedłem nakoniec do nowej opończy.

W zamianę dostawałem grube foliały:
Rejów, Wujków, Paprockich, Stryjkowskich zbiór cały,
Łazarzów, Piotrkowczyków wydania bogate,

I pamiętam tytuły, pamiętam ich datę.
Nie chwaląc się, znam druki krakowskie najrzadsze,
Że czasem i w Bentkowskim omyłkę dopatrzę.
Niepopłatny był towar, mało znany komu,
To ja... z piętra na piętro... od domu do domu...
Obnoszę, pokazuję, rarytność dowodzę,
Wypchną mnie przez drzwi jedne, ja drugiemi wchodzę;
Bo z biedy cóż mam począć? Dla kawałka chleba
Jasnym panom oświatę narzucać potrzeba.
I trochę rozbudziłem do książek ochotę:
Kolońskiego Kromera sprzedam za dwa złote;
Jeszcze wyższej w mym handlu dochodziły ceny,
Stuletnie kalendarze i Nowe Ateny.
Najwyżej stał Paprocki — bo tam było ryte,
Jaki herb dla lokaja, jaki na karétę.
A choć mi czasem szkoda gotyckich rupieci,
Cóż robić? myślę sobie — to na chleb dla dzieci.

No!... pana Mickiewicza zabłysnęła chwała;
Ale już postarzałem... broda posiwiala,
Ręce znużone dziełmi Tacyta, Plutarcha,
Wsparłem ot, na tym kiju, stary patryarcha;
I nieraz gdy książeczkę roznosiłem małą,
Samemu na ten towar patrzyć się nie chciało,
Bo do czego to warto? tom taki niespory!
Jam przywykł do in folio lub quarto majori.

Co w tem to pobłądziłem, bo to dobre dzieła!
Wallenrodom i Dziadom, Litwa przyklasnęła.

Czy pan wiesz? były cuda, co i sen nie marzy:
W pół godziny sprzedałem... dziesięć egzemplarzy!
A wziąwszy dziesięć złotych raduje się dusza:
Ha! to musi być większy od Horacyusza!
Pamiętam, jakby dzisiaj, gdy w rzewnej podzięce
Autorowi Grażyny całowałem ręce...

Lecz począłem ubożeć: czas płaci, czas traci...
Nowe kramnice książek otwarli bogaci,
A w każdej pełno ludu, ciekawość ich zdjęła,
Każdy się dopytuje o najnowsze dzieła;
A ja najstarszy kięgarz, com sprawił tę zmianę,
Stoję, zgarbiwszy plecy i podpieram ścianę.

Co staremu do tego, czy wilgoć czy słota?
Zalecam przechodzącym romans Walter-Skota.
Egzemplarz niekompletny... cóż ja biedny zrobię?
Pan Joachim wyjechał, pan Mickiewicz w grobie...
Pamiętam ich, pamiętam... ja żyłem z ich darów,
Teraz już nie sprzedaję tak dobrych towarów...
Skarlał czas, pokarleli nasi literaci,
Ale, jak mówią ludzie: czas płaci, czas traci.
Bóg mi czterdziestoletnią wynagrodzi pracę,
Odzyskam na Kraszewskim, co na innych stracę.
Kupujcie go panowie! sprzedaję niedrogo,
Bo biedne moje wnuki z głodu pomrzeć mogą.

* * *

Wtem kareta księgarza po bruku się toczy,
I błotem zabryzgała ślepe starca oczy.
Otarł zbolałe oczy i podniósł je w górę:
— Och! na co ja stworzyłem tę literaturę!?

Władysław Syrokomla.

TANDECIARZ.

—

W rogu ulicy przy bramie,
Stoi z koszykiem Żyd stary;
Jak Icek w Warszawskiej kramie
Zachwala swoje towary.
I nie przepuści nikogo,
Aż się nawrzeszczy do syta:
— Ja wszystko sprzedam niedrogo,
Niech tylko jegomość spyta!

Niech jasne państwo pozwoli
Obaczyć towar wszelaki;
Mydło co bez brzytew goli,
Jak gdyby piśmiennik jaki;
Karty co zmieniać się mogą,
To bardzo rzecz wyśmienita!
Oh! ja sprzedaję niedrogo,
Niech tylko jegomość spyta!

Ot cybuch! bursztyn jak jaje,
Nie włożyć w usta tak duży;

Wnet jasnym panem się zdaje,
Kto tylko z niego zakurzy.
Można na szlachtę ubogą
Dym puścić, gdy się z nią wita.
Och! ja przedaję niedrogo,
Niech tylko jegomość spyta!

Mam dzwonek — u tego dzwonka
Serduszko takie jest przednie:
Jak pan w salonie zabrząka,
Służba ze strachu poblednie.
Lecz trzeba trzymać ją srogo,
Bo z dzwonka może być kwita.
Och! ja przedaję niedrogo,
Niech tylko jegomość spyta!

Mam wodę na różne plamy:
Gdy znikną naprzykład wdzięki,
Lub gdy się czasem zbrukamy
Dotknięciem niegodnej ręki:
I takie wymyć się mogą,
Co się od »wziątków« nachwyta.
Och! ja przedaję niedrogo,
Niech tylko jegomość spyta!

Co! przestarzałe towary?
Jegomość! czy mówisz szczerze?
Ej! stary jestem, ja stary,
W gruszki na wierzbie nie wierzę!

Poczciwość z biczem, z ostrogą,
Na krótki popas zawita!
Ja przedam towar niedrogo,
Niech tylko jegomość spyta!

Władysław Syrokomla.

KRZYK STAREGO IZRAELA.

Niewola nasza od wieku się liczy,
Od czasu jak tę Polską Palestynę
Moskal zamienia w pustkę i w ruinę,
Izrael codzień po bóżnicach krzyczy,
A krzyczy głośno do ucha Jehowy.
Ale daremnie na popiołach siada,
Popiół nie spada z ołysiałej głowy
I oków z ręku nie spada.
O we! o we!
Ziemia ta kędy rzeki miodem płyną,
Wygnańcom była domem i gościną,
Izrael na niej grzebał się i mnożył,
I dom tu sobie podróżny założył;
A namiot jego był przytwierdzon mocno,
Złote świeczniki w cześć Panu zakupił,
Ale Pan hordę spędził tu północną,
I przyszedł naród i bogactwo złupił.
I stał się ucisk Babylonu gorzej,
I Amonitów i Assyryjczyków,

I wielkim krzykiem zakrzyczał lud Boży,
W niewoli tego ludu rozbójników;
I wołał patrząc na rzeź i pożogę:
Czyż nam znów kije brać i ruszać w drogę...
O we! o we!
Wzięli nam złoto i srebro... Niech biorą,
Złoto przychodzi i złoto odchodzi,
Co nam zabierze moskiewski zbir złodziej,
To nam powróci Bóg nasz w dziesięcioro.
Domostwa w puste zamienili pole,
A my mówili, niech grabierzca grabi,
Lecz gdy nam dzieci zabrali w niewolę,
My do Rabina przyszli krzycząc: Rabi!
A co uczynim teraz? a ów rzecze:
Spokojny ludu bądź na krew i mordy,
Bóg nam pozostał jeszcze, on wysiecze
Te cary i te rzesze i te hordy,
I te namioty spali im i włocznie,
Spokojny ludu bądź, niech Pan rozpocznie!

I my posiedli znowu jak przepiórki
Spłoszone strzałem gdy zapędzą dalej...
I my wrócili na te puste wzgórki,
Na których głownia ostatnia się pali.
A żony nasze i wdowy i panny
Nie przerywały swój płacz nieustanny:
O we! o we!
Więc my mówili żonom, córom, wdowom,
Że Pan Bóg wielki nasz i w słowach stały;

Ale niewiasty nie wierzyły słowom,
I szły do grobów tam żeby płakały.
I tak siedzieli my dwa lata całe,
Dwa całe wieki, dwa miliony roków,
Patrząc na polskie pola spustoszałe,
I wyglądali znaku od obłoków.
Słońce nic z swojej nie zbyło jasności,
Patrząc na tyle krwi, gruzów i kości.
O we! o we!
A chociaż ludzi pełne są wiezienia,
Izrael wierny został ojców wierze,
I ufa wciąż, że Pan Bóg swoich zbierze,
I że ocali nas od pohańbienia,
I że w tej nowej naszej Palestynie
Nie zginie Polak, Izrael nie zginie,
I że tej ziemi ból nie szkodzi, krew nie szkodzi,
I że na carów dzień przychodzi, sąd przychodzi,
A taki dzień i taki sąd na sędzie,
Że w rzekach wód nie będzie — a krew będzie!

To ja wam powiem sen: ja czytał długo,
A noc spokojna była, widno w kuczce...
I światło lało się na księgę strugą,
I na drzemiącej miesiąc błyskał wnuczce,
A drugie dzieci głaskał błogo, ładnie,
Bo małe dziecko zaśnie gdzie upadnie.

I tak ja czytał długo, a mnie garło,
Gdym na Mojżesza wspomniał, wodza rzeszy,

I że go niema w Polsce, coś zaparło,
A do mych oczów wielka łza się spieszy:
Więc ja zostawił pismo i przez szpary
Spojrzałem, biedny drżący Joel stary.

Och straszne było to, bo gdym pod chrustem,
Zakrywszy ot tak oczy, ciężko jęczał,
Sen na mnie przyszedł, więc i ja w śnie klęczał,
A Pan Bóg wielki szedł nad światem pustym.
A dwie połowy świata, jak dwie poły,
Od końca ziemi wichry niosły dwa Anioły.

Jehowa jak nie kochać ojców ziemi,
I wróbel biedny swej się trzyma strzechy.
A głos mnie rzekł: tam gniazdo, gdzie ja z niemi,
A gdzie nie z niemi ja, tam złość i grzechy;
Wspominaj zakon mój i łzy prorocze,
Wiekami idę, stopą wieki tłoczę.

I potem wszystko znikło... Mnie się zdało,
Że się już budzę, dzieci me zobaczę,
I że nademną dwoje wnucząt stało,
I że szeptały sobie: dziadek płacze,
Lecz jam powieki zwarł i w sen się zwinął,
I cały zobaczyłem naród, co gdzieś ginął.
O we! O we!
I poznawałem głowy, twarze, szaty,
I otwierałem wrota mej komory,
A żona moja myła krwawe szmaty,

A ja umarłych grzebał Tobiasz wtory.
Własnego niosłem syna, ach! ach! męki,
A on w tył przełamany leciał z ręki...
O we! o we!
I już chciałem albo umrzeć, lub się zbudzić,
Gdy Izajasz zeszedł do mnie z góry stromej,
I pokazał latające w wichrze słomy,
I zawołał: Pan nie może świata łudzić,
Tak rozproszy te potęgi jak te pyły,
I połysi ich wyniosłe czoła tyły.

A ja w widzeniu sennem wraz widziałem,
A niech mnie język uschnie jeśli kłamię,
Tak się potykał wielki mocarz z takim małym,
A struchlał, gdy ten mały podniósł ramię,
A nagi był i żadnej nie miał broni,
I tylko zeschłą kość od zdechłych koni.
A jam zawołał: Wielki Pan i ręka szczodra,
A miłość Jego od plemiona do plemiona,
Jako opasał silnie dzieciąt biodra,
I ze krwi wiernej tej, wzbudzi Samsona,
Pan, co ukraca złych i wiąże złości,
I przyobleka w ciała zmarłych kości!

I sen mój przecież skończył się w ostatku,
Po liściach budki słońce rosy grzało,
A dzieci drobne w krąg pytały: Dziadku!
Na Biblii tyle łez, ach co się stało...
O we! o we!

(Po chwili):

Jehowa mocny strzeż żeby dzieci tej ziemi,
Nie poszły z Polski precz, jak my z Jerozolemy,
By studni ludy swych nie zamknęli przed niemi,
Gdy środkiem wielkich miast iść będą te pielgrzymy;
A tu z zaułków ulic i z pod miejskich ratuszy,
Od placów głupi lud i z pod budy okrytej,
Co oni wiedzą? nic... co im nakładą w uszy...
Kamienie wezmą rwać a krzyczeć hipokryty!...

Jehowa nie daj to, by oczy me widziały
Jak straszne miejskie psy ich szarpać będą szaty;
I tak niestety już po Europie całej,
Co Polak biedny, ach! to jakby trędowaty,
I kamień ostry nań i brudna leci ślina,
Niech ten przepadnie dzień i niech się nie zaczyna.
Lecz jeśli wielki Pan przeznaczył nam swobodę,
To może przyjdzie tak, no niech się tak nie stanie,
Że kiedy dla Polaków studzienną zamkną wodę,
Esterka wtóra im wody przyniesie w dzbanie,
I powie pij, bo Pan jest wielki, miłosierny,
I z wiernym ludem lud niech pozostanie wierny.

Że kiedy będą nieść w skórzanych księgi worach,
Proroków psalmy swych jak Juda złotą Torah,
I kiedy księga wam zostanie skarbem całym,
I przyjdzie kryć się, ach! z wiarą swą przed dniem białym:
Gdy z oznaczonych kątów przestąpić wzbronią nodze,
Gdy polski ryknie płacz jak Judy w Synagodze,

Gdy starcy wzniosą jęk cięższy od Jeremiasza,
Gdy wasza dozna wiara czego doznała nasza,
To może jaki żyd na złotem siedząc krześle,
Budować dla was gród swoje wyprawi cieśle.

Królowie dla was śmierć i ludy dla was krzyczą,
I rozproszeni wy, lecz Pan wybrane zbierze,
I oni wezmą świat i ziemię odziedziczą,
Za nami mury miast, za nami pójdą wieże,
Jehowah! ach, Jehowah!
Elohim Sabaot, ach! ach!...

Teofil Lenartowicz.

ŻYDOWIE POLSCY

w 1861 r.

I.

Ty jesteś w Europie, poważny narodzie
Żydowski, jako pomnik strzaskany na Wschodzie,
Swoimi gdy złamki wszędzie się rozniesie,
Na każdym hieroglif unosząc odwieczny,
A człowiek północny, w sosnowym swym lesie
Napotka cię, odbłysk zgaduje słoneczny
Ojczyzny! co kędyś w niebieskim lazurze,
Jak Mojżesz się w wodzie pławiła Nilowej —
I mówi: — Jest wielkim, kto bywał tak w górze,
I upadł tak nizko i milczy jako wy.

II.

Północne my syny z włosami płowemi,
Wschodowej historyi my śnieżne obłoki,
Za kabał granicą, odrazu, wprost z ziemi,
Patrzący na niebios przybytek wysoki;

Jak Agar synowie, przez kraju istotę,
Jak Sary synowie, przez ojców robotę,
My pierwej niż inni, my wcale inaczej,
Pojrzeliśmy ku wam, bynajmniej z rozpaczy:
Boć herbem gdy z wami szlachetny się łamał,
Krzyż bywał w przełomie tym — i on nie kłamał.

III.

Aż oto, że dzieje pozornie są zamęt,
Gdy w gruncie są siła i ładność szeroka!
Aż oto, że dzieje są jako testament,
Którego cherubin dogląda z wysoka;
Więc znowu Mahabej na bruku w Warszawie,
Nie stanął w dwuznacznej z Polakiem obawie,
I kiedy mu ludy bogatsze na świecie,
Dawały nie krzyże, na których się kona,
Lecz z których się błyszczy — cóż? przeniósł on przecie
Bezbronne, jak Dawid, wyciągnąć ramiona!

IV.

Poważny narodzie! cześć tobie w tych, którzy
Mongolsko-Czerkieskiej nie zlękli się burzy,
I Boga Mojżeszów bronili wraz z nami,
Spojrzeniem rycerskiem, nagiemi piersiami.
Jak starsi w historyi, co ręką na dzicze
Kiwnąwszy z wysoka, wołają: dotrwałem!

Chorągwi się badam, nie chłopy się liczę,
Bo gdyś ty był nicość, ja mleko już ssałem...
Naturę znam dawniej, więc przeklnę wędzidła,
I staniesz na koniu, jak pastuch — bez bydła!

Cypryan Norwid.

HEBREJKA.

Drżące światełko lampy mdło izbę oświeca;
Na stole leży księga — ha! to Biblia święta;
W jej teksty zatopiła oko swe dziewica,
I ona, jak ta Biblia, jeszcze raj pamięta.

Po nim to tak tęskniąca patrzy w dal źrenica,
A światłość i woń jego nie jest jej odjęta.
Tak pełga w rozpostarciu tylko twarz księżyca,
Na padół ten bied, nędzy, nad ziemią przegięta.

Dusza ta z łona Bóstwa przed chwilą zeszczknięta;
Śród szarugi żywota nie pierzchła tęsknica:
Ona na krzyżu ciała męczy się rozpięta;

Bo jej niebiańskie blaski rozmraczają lica,
I cała, jak królewna gminnych klechd zaklęta,
Poezyą swej niedoli wszelki duch zachwyca.

W. K. Zabłocki.

SKARB.

LEGENDA IZRAELSKA.

Był Rabbi bardzo mądry i ubogi...
Bardzo ubogi i bardzo szczęśliwy.
Ubóstwa jego proste były drogi,
I jak Eliasz pod cieniem oliwy,
Tak on, którego włos już wieńczył siwy,
Pod ducha swego spoczywał prostotą:
Mądrość mu była i szczęściem i cnotą.

Rabbi miał żonę, lecz w piersiach kobiety,
Nie mieszkał taki duch spokojnej siły;
To też w niej często, o często niestety,
Spełzłych pożądań żale się budziły,
Smutno jej było odejść do mogiły
I przebyć wrota tajemnicze zgonu,
Ziemskich dostatków nie uszczknąwszy plonu.

Stąd nieraz ciężko została zmącona
Pogodnych myśli mędrca błogość cicha;
Serce się nieraz ścisnęło śród łona,

Skoro usłyszał, jak żałośnie wzdycha:
— Jakże, narzeka, dola nasza licha!
Twa mądrość nic nam dotąd nie przyniosła;
Czemuś mieć nie chciał innego rzemiosła? —

Rabbi mógł rękę podnieść i milczenie
Mógł płochym ustom nakazać, surowy;
Jako w bezbożnych lud miota kamienie,
Tak mógł groźnemi uderzyć w nią słowy,
Aby mu do nóg pochyliwszy głowy,
Złożyła ciche wyznanie pokory,
Że duch w niej mały jest i pychą chory.

Ale ów mędrzec miał serce litosne,
I kochał tkliwie tę, co go dręczyła;
Pamiętał jeszcze, jak mu życia wiosnę,
Miłości swojej kwieciem ukrasiła,
Jako mu wdzięczna, jako była miła,
Gdy słodsze, niźli rajskiej rzeki miody,
Pocałowania ust jej spijał młody.

Więc ukołysać chciał żałość niebogi,
Chciał coś uczynić by była szczęśliwa,
I rzekł jej: — Żono! skarb niezmiernie drogi
Pod naszym nizkim dachem się ukrywa,
Lecz pozór rzeczy często zwodnym bywa,
I pewno nie wiesz, jak wielce jest cenny,
Sabata świecznik nasz siedmioramienny?

Za nędzny mosiądz brał go wzrok twój słaby,
Zwiedziony starej prostoty robotą.
Lecz mógłby jaśnieć przed królową Saby,
Jako Ofiru najprzedniejsze złoto.
Tajoną prawdę odkrywam ci oto:
Dotąd za święte służył nam naczynie,
Dzisiaj ci z niego skarb szacowny czynię.

I stał się skarbem... Błyszczące źrenice
Wlepiła w niego niewiasta wzruszona:
Bogactwa swego znając tajemnice,
Radosną dumę uczuła śród łona.
Jakby małżonką była Salomona,
Schylone czoło wysoko podniosła,
I tak chodziła w szczęściu swem wyniosła.

A kiedy doszła kresu ziemskiej mety,
Śmierć ją spokojnie pogodną zastała:
Nie było skargi na ustach kobiety,
Na żywot, który ubożuchnym miała.
Tylko gdy dusza uchodziła z ciała,
Z łagodnym smutkiem rzekł jej mędrzec siwy:
— Idź tam, gdzie poznasz, co jest skarb prawdziwy!

Bezimienny.

RABIN.

Siadł Rabin w smutku, pyta ksiąg mądrości,
Jakiemi słowy cieszyć lud strapiony?
W łono mu co dnia, jak w urnę żałości,
Ziewają swoje łzy i krew miliony...
Ach! i nie budzi Pan mścicielów z kości,
Polsce cierniowej nie zmienia korony!...
Wstał i na miasto poglądając łzawo:
— O! Jeruzalem — jęknął — o! Warszawo!

A wtem posłowie doń z niemieckiej ziemi
Wchodzą, i głoszą bratnie pozdrowienie:
— Rabinie — rzekną, tu Hiobowemi
Łzami ty płaczesz, na krew i zniszczenie;
Tu wróg mieczami grozi ci ostremi,
Sławę zaciera i roztrąca mienie,
Pójdź do nas! porzuć synagogi krwawe,
My damy'ć mienie i spokój i sławę! —

Słucha ich Rabin i rzecze: — Posłowie!
Na sądzie Pana przeniewiercom biada!

Jam się tu zrodził, tu służąc Jehowie
Zginę, gdy zginie braci mych gromada.
— Rabinie! — poseł niemiecki odpowie:
Nie miotaj darów, któreć kraj nasz składa;
Zważ: przyjaciółmi nam królowie świetni,
A przy twej Polsce kto stoi?
— Szlachetni! *

Mieczysław Romanowski.

* Tak odpowiedział Rabin J a s t r o w w Warszawie wysłańcom z Manhajmu.

O ŻYDZIE BORUCHU

HISTORYA TREFNA A PRAWDZIWA WIELCE.

—

W owe to czasy, kiedy do Korony
Per fas et nefas dwóch się, panie, darło,
Kiedy Szwed i Sas, każdy na wsze strony
Gospodarował i walczył na gardło:
W owe to czasy drogą od Tajkurów,
Co wężem płowym bieży koło wioski,
Toczył się wózek maleńki, żydowski,
A w nim żyd stary i parę bachurów.
Wózek lichota, same grochowiny,
Dziury mu w bokach świecą od starości,
A koń u wózka, toż skóra i kości.
A żyd, jak zwykle żyd, potulny z miny,
W futrzanej czapce; za całe ubranie
Chałat z wytartej zeszyty opończy.
Kiwa się ciągle, snać pacierze kończy,
Lub na bachurów zaszwargocze z cicha,
Co chude członki wyległszy na sianie,
Chrapią jak tartak co wodę popycha.

Choć droga gładka, jak mówią, po mydle,
A do popasu milek jeszcze ze dwie,
Noga za nogą koń się wlecze ledwie,
Zwykłe, żydowskie na wpół zdechłe bydlę,
Chociaż to instynkt lepszy ma od człeka;
To też na wolę żyd mu puścił wodze,
I wzrokiem powiódł ciekawym po drodze,
Bo tam na drodze coś czerni z daleka.

Czerni się, czerni, coraz więcej wzrasta,
I tuman kurzu wreszcie się przerzednia:
To szlachta panie, a snać sama przednia,
Bo mina u niej gęsta i sumiasta.
Przodem na siwku, co w dzielnym podskoku,
Bokiem podrywa najeżoną grzywę,
Z czapką na bakier, z demeszką u boku,
Jakieś chłopisko harcuje straszliwe.
Wąs jak u suma, a twarz ogorzała,
W oczach mu wyraz płomienieje dyabli,
Brwi nasrożone, a szrama od szabli
W lewo z policzka w czoło wybieżała.
A pięść u niego taka zamaszysta,
Że jak cię rąbnie — to do nóg upadam,
Zanim powstaniesz, zjadłbyś dyabłów trzysta:
To sam chorąży, pan Szmigielski Adam.

W żydzie krew ścierpła, lecz cóż robić w biédzie?
Odkręcił na bok i ku polu dąży,
A w tem: »Stój żydzie!« krzyknął pan chorąży,

I cała szlachta wrzasnęła: »Stój żydzie!«
— »Gdzie to waść jedzie o tak wczesnej dobie,
Proszę sam do mnie, pogawędzim sobie«.

Żyd wylazł z bryki, poznawszy po mowie,
Że to nie żarty; nachylając karku
Do nóg się kłoni.
— »Przezacni panowie,
Ja biedny żydek, powracam z jarmarku,
Jadę do domu«.
— »Hola! za to ręczę,
Że gdzieś przeciw nam podążasz z językiem«.
— »Jak mi Bóg miły, ja nie zmowny z nikiem,
W Tajkurach skórki sprzedałem zajęcze
I wracam do dom; jeśli kłamię słowo
Niech mi jasności niebieskie zagasną«.
— »Więc dobrze, gdy chcesz z rąk naszych wyjść zdrowo,
Mów za kim trzymasz, wyraźnie i jasno«.
— »Nu, za kim trzymam? za panami juści«.
— »Żydowski język zawsze krzywo hasa,
Toć wiem, że wszyscy jesteście oszuści;
Twoja rzecz wyznać, łapserdaku szczerze,
Komu ślubujesz w twej pogańskiej wierze,
Kogo chcesz królem: czy Sasa czy Lasa?« *

---

* Partyzanci Augusta II-go tak nazywali Stanisława Leszczyńskiego i stąd urosło przysłowie: »jedni do Sasa, drudzy do Lasa«.

Żyd zadygotał, twarz zbladła jak kreda,
Strach przejął kości i grzbiet zgiął we dwoje,
I gadać bieda i nie gadać bieda,
Bo nie żartują te psiawiary goje.
Chciałby coś mówić, lecz się jeno jąka,
Bo strach ognisty na języku ciąży,
Wtem niecierpliwy krzyknie pan chorąży:
— »Panie Jacenty! dajno waść postronka,
Kiedy jest takiej milczącej natury,
To go mosanie, powiesim tymczasem«.

Jak oparzony żyd skoczył do góry:
— »Aj! daj pan pokój, ja trzymam za Lasem!«

— »Więc poganinie jesteś partyi szwedzkiej!
Czekaj: rozłożyć to plemię hajducze;
Dwadzieścia batów!... Na honor szlachecki,
Ja cię tu króla nazwiska nauczę!«

I kawęczeniem nie bawiąc się długiem,
Wraz rozłożyli żyda bez kobierca,
A pan Jacenty podchodząc z kańczugiem,
Wlepił dwudziestkę, ale to od serca,
Że to aż iskry sypały się panie!
Więc kiedy dzieło skończyło się owo,
Siadając na koń, tak na pożegnanie
Rzekł mu Szmigielski:
— »Będzie waści zdrowo,
I pomnij sobie odtąd po raz drugi,

Że Sas panuje, a my jego sługi,
A kto niewierny, to kropim batogiem«.
Uchylił czapki i odjechał z Bogiem,
A za nim szlachta.

Żyd podniósł się z ziemi,
I wzrokiem powiódł gniewliwym za niemi,
I mruknął z cicha: — »Żebyście zmarnieli
Jak proch na polu, razem z waszym Sasem,
Tfy, szelmy goje!« — Ścisnął chałat pasem,
Poprawił pejsów i pojechał dalej.

Bachury spały, szkapa lazła stępa,
A żyd mamrotał na gojów pod nosem.
Na prawo drogi, od pola ukosem
Niewielka drzewek czerniła się kępa,
A za nią grobla z piaskowych kamieni,
Bagniskiem z obu naciśnięta boków.
Grobla nic jeszcze, lecz o kilka kroków
Znów jacyś ludzie stoją uzbrojeni,
I chociaż minąć radzi myśl ostrożna,
Grobla tak wązka, że minąć nie można,
A i tak, panie, konisko zmęczone.
Bieda bo bieda, lecz żyd się pociesza:
»Może mię zbawi wielki Bóg Mojżesza,
Co wiódł mych ojców przez morze Czerwone«.
Więc tedy błaga pokornie Jehowę:
»Panie, niech ku mnie Twa łaska się nagnie,
Spraw, żeby sługi te Faraonowe,

Co do jednego zatonęły w bagnie,
Lub niech ich piorun Twój ognisty spali,
Bo to są goje nikczemni i podli«.

Tak się żyd panie, po swojemu modli,
A bryka *tandem* ciągle idzie dalej,
I już na grobli i jezdnych spotyka.
Brzękły podkowy, zaszczękały kordy,
A koń schwytany za cugle u mordy,
Stanął jak wryty, a za nim i bryka,
I Boruch, jakby wyciśnięty procą,
Znalazł się nagle przy bryce na ziemi;
Tu jeden starszy snać pomiędzy niemi,
Zagadnie:
— »Żydzie, gdzie jedziesz, i poco?«
— »Nu, gdzie ja jadę? ja jadę do domu,
Toż ja nie żaden Tatar ani Turek;
Ja biedny handlarz od zajęczych skórek,
I nigdy w drogę nie wlazłem nikomu«.
— »A komu służysz ty pogańskie dziecko?
Z jaką ty partyą — czy Saską czy Szwedzką?«

Zlękniony Boruch macnął się po grzbiecie,
Bo u tych także za pasem kańczugi:
— »Nu, wszak panowie wszyscy dobrze wiecie,
Że królem polskim tylko August drugi«.

— »A więc tak śpiewasz, ty pohane plemię!
Rozłożyć żyda, niechaj się wraz dowie,

Że kiedy naszą zamieszkuje ziemię,
To musi służyć naszemu królowi«.

I znów batogi...
A bachury spały.
Dawno świadomy już o tem świat cały,
Że w żydzie tchórzna natura i słaba;
Skórę ma twardą ale miękkie serce,
Boruch jako mógł okutał się w ścierce,
I jechał dalej a beczał jak baba,
I choć mu dyable dokuczyli, iście
Już nawet nie klął, bo piekło siarczyście.

Żydowska karczma przy drodze za lasem,
Przed nią jak mrowie szlachta wysypała,
Tartas i rwetes, tu widać popasem,
Stoją pancerni, ba, chorągiew cała!
Żołdactwo łaje gospodarza z krzykiem,
Albo bachurów szturga ku zabawie,
A przede drzwiami na kamiennej ławie,
Siedzi chorąży z panem namiestnikiem,
Oba już z mocno zrumienioną twarzą,
I popijają miód z dzbana i gwarzą.

— »Więc pan Kijowski odstąpił już Szweda?
No, poznał *quidem* skąd wiatr, panie dmucha,
Jeszcze Lōwenhaupt...«
— »At, Lōwenhaupt mucha.
Ale z Potockim zawsze będzie bieda,

Uparty kozioł, *et tandem* przysięga,
Że nie odstąpi. Niechaj Szwedów łupią,
Kaduk ich zabierz, z obcym nie mitręga,
Lecz ze swoimi jakoś dyable głupio.
Kord we krwi bratniej zawsze się bezcześci;
Żeby to jako skąd zasięgnąć wieści.
I... patrzno waszmość, tam na drodze oto
Podróżną brykę wstrzymali żołdaki,
Może to do nas jest posłaniec jaki?
Dajcie sam żyda! Gadajno hołoto
Kto ty zacz jeden, za kim i do kogo?«

A Boruch stanął z wyciągniętą szyją:
— »Co to się pytać? niech panowie biją,
A potem przecie zapytać się mogą,
Wszak tu wam tylko o batogi idzie!...«

Taki jest morał gawędy o żydzie.

Wacław Szymanowski.

RYŻY MORDKO.

Przy drodze krzywa karczemka licha,
Dach jej koślawy, drąg go podpycha,
W karczemce Mordko ryży i kosy,
Majufes w różne zawodzi głosy.

W świąteczne tałes myckę okrywa,
I przykazaniem na czole kiwa,
Rzemieniem nagą owinął rękę,
I Panu słodką nuci podziękę.

Podziękę słodką nuci Jehowie,
I duszy zachwyt brzmi w każdem słowie,
Z rozkoszy serca Panu się zwierza,
I wciąż ku odrzwiom zerka alkierza.

Jak się nie cieszyć? Taka nowina!
Ruchla mu w nocy powiła syna,
Ryży jak tate, potomek godny,
Jak tate kosy syn pierworodny!

I gdy tak nuci, i gdy tak zerka,
Chłopska mignęła w progu magierka,
I w krwawej, nędznej, łatanej świcie,
Ranny powstaniec wkrada się skrycie.

— »Litości żydzie! Spocznę choć chwilę...
Wódki daj kroplę, krwi uszło tyle...
Garść naszych skłuta, człek milę idzie,
Bezsilny padam... Ratuj mię żydzie!«

Zastękał Mordko, wziął się za głowę;
— »Oh, wej... te rany takie niezdrowe!
Bóg dał mi syna, a ty słabiutki,
Na, zjedz łokszyny, napij się wódki«.

Powstaniec kugle połyka chciwie,
A Mordko cmoka w synka podziwie,
Gadatliwemi wychwala usty:
»A jaki piękny, a jaki tłusty...«

I spojrzy w szybę — zblednie jak płótno...
— »Aj, waj! kozaki!... Szyję mi utną,
I wszystką wódkę wyżłopią duszkiem!
Skocz *goju*, skryj się pod Ruchli łóżkiem!«

Wpadają. — »Sam tu, żydzie, sobako!
Nie był tu z czapką taką a taką,
W świtce się z lasów tutaj przedzierał,
To Borelowski, chłopski jenerał.

Ktoby go ujął, nagroda wielka,
Bumażków tysiąc, rubel w rubelka;
Ktoby go ukrył, Sybir i pałki!«
Mordkowych oczu zabłysły gałki...

W Mordkowych kłapciach zadrżały łydki,
Złoty interes... nu, trochę brzydki...
W mózgu mu ciche kotłują targi,
Szeptem zbielałe drgają już wargi...

Wtem od alkierza Ruchli głos jęknie:
— »Kto był? Nikt nie był. Proś panów pięknie,
Niech się rozgoszczą, honor, zaszczyty,
A postaw garniec, dwa, okowity.

Rusz ty się Mordku! Pany kozaki,
To gość dla żydka nie lada jaki,
U nas dziś święto... Grzeczni panowie,
Niech za Lejbusia wypiją zdrowie!«

Żachnie się Mordko i w dłonie plaśnie:
— »Nu, proszę w alkierz, to syn mój właśnie,
Syn mój, mój synek i bałabusty,
Piękny, co? mądry, a jaki tłusty!«

Zajrzą kozunie: figlarny ludek!
Ten chorą Ruchlę szczypie w podbródek,
Ów bety ściąga, ów zuch nad zuchy,
Szaszką w dziecięcia sięga pieluchy.

Dygocze Mordko, omdlenia bliski,
Kurczowo synka chwyta z kołyski,
Do piersi ciśnie, łypie powieką,
Lód ścina serce, policzki pieką.

I ze zdławionej strachem gardzieli,
Śmiechem się krztusi: — »Wej, a nuż strzeli?...
Weź pan ten rzezak... Nie szkoda czasu?
Chodźmy, wojaki, tam, do szynkwasu!«

Ochoczo wraca z alkierza tłuszcza,
Mordko już dziecka z rąk nie wypuszcza,
Cmoka i tuli, — i drży i cmoka,
Dryga, a łza mu sączy się z oka...

Ku drzwiom zezuje, nadstawia ucha,
Bulkoce w kadzi mętna siwucha,
Kwadrans, godzina, pot płynie strugą:
— »Aj, waj! jak chłepczą... Aj, waj! jak długo!«

Modli się, wzdycha, blady jak ściana;
Sza... dnem już świeci kadź wylizana;
Wódkę wychlali, nic nie wskórali,
I na koń wsiedli — i pojechali.

Zaledwie kozak zniknął ostatni,
Ranny z piekielnej otrząsł się matni;
Za dłoń uścisnął Mordka, Mordkowę,
I ucałował dziecinę w głowę.

Uszedł... Bumażek tysiąc przepadło!
I w oczy sobie spojrzało stadło;
— »Tfu, splunął Mordko z jękiem boleści:
Sześć rubli straty, groszy trzydzieści!«

Aureli Urbański.

MOSIEK.

I.

Dzwonek uderzył, chłopcy przez ławki
Skaczą i biegną ze szkoły;
Tuż bieli Wisła, więc na ślizgawki,
Podążył orszak wesoły.

U wszystkich spięte w górę mundury,
Jak u stupajek na warcie;
Lecz z ócz im chytrość, nie strach ponury,
A śmiałość patrzy otwarcie.

Z figlów na lekcyach młódź się przechwala,
Barwnym, studenckim językiem;
Jak ów zwiódł Niemca, ten drwił z Moskala,
Co go przezwali Rurykiem.

Był to sztabs-rotmistrz, za awantury,
Wykreślon z pułku kontroli,
Teraz, rossyjskiej literatury
Profesor, po Carskiej woli.

Chociaż nie umiał nic a nic wcale,
Lubiła młoda go zgraja,
Bo młode zgraje, sprytni Moskale,
Uczyli za Mikołaja.

Ruryk moralnym nie był dziwakiem,
Pozwalał uczniom na żarty:
Z starszymi chodził na czaj z arakiem,
Prosił do siebie na karty.

Choć miał w kieszeni pusto — jak w kuble
Pustym, — a długów okropnie,
Za kilka rubli, za cztery ruble,
I za nic, dobre dał stopnie.

A że podobnie wielu Rurykom,
Wielbił on Laszki-koteczki,
Więc przy gitarze, starszym młodzikom,
Lubił piać tkliwe piosneczki:

Trójkę, *Kwiat czarny*, lub tęskno-dziką
Mało-rusińską *Sierotkę*,
A czasem nawet z Glinki muzyką,
I Mickiewicza *Pieszczotkę*.

Takim był Ruryk. — Płynne śniadanie
Dziś gdy nie wyszło mu z głowy,
Nad brzegi Wisły zszedł niespodzianie,
Przewietrzyć nos rubinowy.

— Nu! — rzecze — zdrowo, moi panowie!
Ślizgawka rzeźwi naukę,
Czort, że mi właśnie nie służy zdrowie,
Bobym pokazał wam sztukę.

Służąc w Klastyckim huzarskim pułku,
Gdzie to mołodcy niezmierni,
Było zapytać o mnie w zaułku
Każdym, w Penzeńskiej gubernii.

Ja i mój krewny, syn Pułkownika,
Wśród dam, przed Jenerałową,
W łyżwach po lodzie cięli walczyka,
I galop... czestnoje słowo!

— Niech pan profesor teraz nam wytnie
Galopa, albo walczyka! —
Śmielsi chłopacy proszą podchwytnie,
Śmiejąc się w duszy z Ruryka.

— Nu nie, bo głowa boli potrosze,
Nużące nauki ścisłe,
I chłodno... Kilku z panów zaproszę
Na szklankę czaju, za Wisłę!

Zaprosił kilku, — kilku zazdrośnie
Patrzy na wybór Ruryka;
A zgraja młodszych wrzeszcząc radośnie,
Strzałą po lodzie pomyka.

II.

Zimowe słońce blade uśmiechy
Rzuca po lodzie i śniegu,
Szczypie w twarz mrozem... Wtem śród uciechy
Brzmi głos płaczliwy na brzegu:

— Aj waj! Panowie! Kiedy nie mogę
Ślizgać się za nic na świecie,
Bo mi mówiło mame, że nogę
Złamię, nu — czemu ciągniecie?

Tak się zaklinał, wywijał z tłoku
Żydek w jarmułce, z pejsami,
Gdy go figlarze z góry i z boku
Ciągnęli na lód żartami.

Wątła i zgięta postać żydziny,
Blada — jak kawał pietruszki,
Obwisłe ręce, cienkie nóżyny,
Jakby pieprzowe cybuszki.

— Wstyd wam iść z biednym żydkiem w zapasy!
Zawołał donośnym głosem
Student już starszy i z wyższej klasy,
Wesołych oczu, z blond włosem.

— Co się tak Władku ujmujesz czule?
To Mosiek, to syn Cwajera,

Łotra, lichwiarza! który koszulę
Ostatnią z biednych obdziera.

— To syn Cwajera! wrzasł do chłopaków
Ruryk. — Ja też sto całkowych
Winien Cwajeru, — kilka kułaków
Sypcież Mośkowi — a zdrowych!

Na tę zachętę — wraz kilka pięści
Groźne natarcie wymierza,
Mosiek oniemiał, w zębach mu chrzęści,
Jakby kot skoczył z wybrzeża —

I pomknął przez lód. — Goń, goń szajgeca!
Kilku chłopaków go drażni.
Ale tak kota strach nie podnieca
Jak Mośka napad bojaźni.

Bez tchu, na oślep biegnie, gdzie drugi
Brzeg — i gdzie cieńsze wkrąg lody;
Nagle się potknął, upadł jak długi,
Lód pękł, wpadł z jękiem do wody.

Krzyknęła drżąca chłopców gromada.
— Czort! ot niedobry wypadek!
Sentencyonalnie Ruryk powiada;
Lecz pędzi naprzód już Władek.

— Kiedym ich błagał, byli oziębli,
Lecz chętni Moskala radzie...

A nuż utonie Żydek w przerębli?
Pędząc, wyrzucał gromadzie.

Dobiegł, — na szczęście woda tam płytka
Szła, bo prąd rzeki daleko,
Wraz omdlałego wyciągnął Żydka,
Sinych ust, z zwartą powieką —

Zmokłego, jakby płaczący w sieni
Parasol po nawałnicy;
Zbladłego, jakby liść na jesieni,
Jak wosk gasnącej gromnicy.

Na brzegu płaszczem go swym obrzucił,
W poblizkiej gospodzie złożył,
Rozebrał... Mosiek wnet się ocucił
W cieple, powieki otworzył.

A z jego oczu czarnych, ognistych,
Po chudem, bladem obliczu,
Spłynęło kilka łez potoczystych
I rzekł: — Bóg zapłać paniczu!

Słyszałem, za mną panicz kochane
Prosił, gdy bili mnie trocha...
Aj! jam utopił czapkę futrzane,
Będzie mnie tłukła macocha.

Już rok jak mame zawieźli moje
Na kirkut, czarnym kuferkiem;

Aj! waj! macochy bardzo się boję
O czapkę z lisiem futerkiem!

Gdy tak o czapkę skrzeczy Żydzina,
I gdy go Władek pociesza,
Z tętentem, jakby źrebców stadnina,
Przypędza studencka rzesza.

— Zuch Władek! — jeden z nich się odzywa,
Krucho już było z biedakiem.
— Z Ruryka rady — drugi przerywa,
Dla Mośka mam czaj z arakiem.

— Pij! — woła trzeci — bo to nie żarty
Zziębnąć po takiej kąpieli.
— To pewno Mośka czapka — rzekł czwarty,
Cośmy ją z lodu podjęli.

Mosiek niechętnie połykał lurę,
Ale na widok czapczyska
Z lisiem futerkiem, podskoczył w górę,
I łza mu w oku zabłyska.

— Aj waj, niech tałes podeschnie troche —
Rzekł po chwilowym namyśle,
— To zaraz pójdę, ale macoche
Nie powiem, com był we Wiśle.

A tate powiem, com chodził sobie
I skąpał sobie z przypadka,

Zresztą jak panicz każe tak zrobię...
Bełkotał, patrząc na Władka.

— Poczciwyś, Mośku! — wraz na wyścigi,
Różne się głosy ozwały;
— Czy chcesz pierników, czy wolisz figi,
Może daktyle, migdały?

— Nu! ja dziękuje, a proszę ino
Coby wy mnie już nie bili...
— Mośku! poczciwym jesteś chłopczyną,
Kochamy cię od tej chwili.

III.

Ocalonego Mośka widokiem
Gdy się nacieszyć nie mogą,
Drzwi zaskrzypnęły, niepewnym krokiem
Wszedł Ruryk, zmarszczył brwi srogo.

— Nu — krzyknął groźnie — może to ładnie,
Coś z wody wydostał Żyda,
Ale ty nie wiesz bratku, że spadnie
Okropna na ciebie bieda.

Panie Władysław! choć ty ze szlachty,
A ja ci przykroję buty;
Każę zsiec, wsadzę do hauptwachty,
A potem oddam w rekruty.

Śmiałeś mnie, com był rotmistrz huzarski,
I służbą mogę się chlubić,
Co mam Jerzego, Annę — i Carski
Medal, Moskalem nagrubić?

Ja — Moskal? Kiedy cała Penzeńska
Gubernia może ci przysiądz,
Że mój papinka koło Smoleńska
Posiadał dusz przeszło tysiąc.

Ja! wasz najstarszy profesor w szkole,
Zgrubiony takiem przezwiskiem?
Nie, bratku! na to już nie pozwolę,
To pachnie buntem i spiskiem.

Zaraz doniosę do Dyrektora,
Jaka ty sztuka zuchwała,
Aby on doniósł do Kuratora,
Kurator do Feldmarszała!

— Aj waj! mój Boże, gwałt, co to będzie?
Wrzasł Mosiek po tej perorze...
— A ja wam ręcze, jesteście w błędzie,
Szlachetny nasz profesorze!

Przesłyszeliście się pomimo wiedzy,
Siergieju Iwanowiczu,
Niechaj powiedzą wszyscy koledzy,
Spojrzcie po Władka obliczu!

Czyżby śmiał myśleć tak choć przypadkiem,
Czyżby tak rzekł choć nawiasem?
My najpokorniej prosim was z Władkiem
Za most, na poncz z ananasem.

Tak rzekł układnie jeden z studentów,
Krępy, barczysty chłopczyna,
Mistrz do psich figlów, psot i wykrętów,
Syn Polki, z ojca Rusina.

Lecz Ruryk groźne tocząc spojrzenie,
Mruczał: — Już dość tych igraszek!
Wtem, kiedy trącił go w powonienie
Ananasowy zapaszek —

Gdy za i przeciw, w całej rozterce
Zrachował zmysłem szulerskim,
(A miał pijackie niezgorsze serce),
Rzekł nagle z giestem żołnierskim:

— Czort mi tam chłopcu, który dorasta
Szkodzić, aby mnie przeprosił!
Niech żyd schnie prędzej! Pójdziem do miasta,
Ja nie szpion, cobym donosił.

IV.

Spłynął rok krwawym zdrojem w potoku
Trucizny Mikołajowskiej...

Władek już klasy kończył w tym roku,
Mosiek był w szkole żydowskiej.

I tak mu wdzięcznie w sercu, w pamięci
Tkwił panicz, co go ratował,
Że gdy się w szabas z domu wykręci,
U bram gimnazyum czatował —

W czarnym tałesie, w kapelusiku,
W błyszczącem obuwiu nowem,
Jak kruczek, kiedy stojąc w trawniku,
Lśni pierzem czarno-stalowem.

Aby panicza dojrzeć koniecznie,
Gdy ujrzał, biegł doń jak z procy.
Panicz go witał, rozmawiał grzecznie,
Kupował ciastek, owocy.

Ale po szybkim upływie czasu,
Gdy panicz miasto porzucił,
To Mosiek nieraz podczas szabasu
Nudził się, tęsknił i smucił.

Nieraz, gdy ojciec złajał go w domu
Za złej macochy przyczyną,
Mosiek przy stole, łzy pokryjomu
Łykał z szabaśną łokszyną.

Gdy nieco podrósł, chociaż w nim tlała
Pojętność ludu Jehowy,

Głęboki Talmud, mądra Kabała,
Wcale mu nie szły do głowy.

Uczony belfer, choć po niemiecku
Wygłaszał te tajemnice:
Mosiek — jak zimą kot na przypiecku —
Wciąż miał zaspane źrenice.

Marzył wciąż tylko o polskiej szkole,
Mundurku, piłce, ślizgawce...
Wtem traf uprzedził chłopczyny wolę
I natchnął tak życiodawcę:

Że Cwajer, chasyd, co z nienawiści
Do gojmów, darł ich ze skóry,
Dał Mośka do szkół dla swej korzyści,
Pomiędzy gojmów bachury.

By przezeń, kociak, głębszych przebiegów
Łapania myszy uczony,
Potem bogatszych swoich kolegów,
Pchał ojcu w lichwiarskie szpony.

Mosiek się ocknął wśród chwackiej dziatwy,
Jak kwiat przy wiosny podmuchu,
Wykład po polsku tak dlań był łatwy,
Tak mile dźwięczał mu w uchu:

Że mniej pojmując innych przedmiotów,
Co obcą słuchał je mową,

W polskiej się pozbył żydowskich zwrotów,
»R« — przestał mówić gardłowo.

I ten chuchraczek, co przez pomyłkę
Zda się żył, wątły był taki,
Zmężniał, gdy zaczął często grać w piłkę,
Ślizgać się, bić na kułaki.

A Ruryk? Ruryk w swoim przedmiocie,
Rok rocznie bywał uczeńszy —
I rok mu rocznie rubinów krocie,
Wieńczyło nos wciąż czerwieńszy.

V.

Czas przemknął szybko kilku latami...
Władysław mieszkał w swym dworze
Na wsi, — a Mojżesz nad rachunkami
Giął się w kupieckim kantorze.

Choć stary Cwajer go znienawidził,
Chcąc zeń lichwiarza wychować,
Że — jak on trefnem, tak syn się brzydził
Lichwą i nie chciał szachrować.

Choć stary Cwajer miał wprost za głupca
Tego mądrego studenta,
Co wolał trudną pracę u kupca,
Niż z łatwej lichwy procenta.

Co mając ze szkół przyjaciół wielu,
Śmiał z nimi każdego czasu
Jeść trefne, — i bez zarobku celu,
Bawić się we dnie szabasu.

Mimo to Mojżesz żył bezustannie
Z goimów czeredą całą,
Nawet się w polskiej zakochał pannie,
Pierwszą miłością nieśmiałą.

W siostrze kolegi, ładnej dzieweńce,
Co nie wiedziała zapewne,
Że na twarz Żyda biją rumieńce,
Gdy spojrzał w oczki jej rzewne.

Co nie wiedziała snać, choć niewieście
Główki, sprytnością tchną samą:
Czemu tak często spotyka w mieście
Żyda, gdy w miasto szła z mamą?

Niewinna wabność urok rozgrzesza,
Jak ciernie kwiatu, woń kwiatu;
Raz jednak zdziwił ją wzrok Mojżesza,
Śmiejąc się, rzekła coś bratu...

Ten zawsze chętnie przyjmować raczył
Swego szkolnego kamrata;
Lecz odtąd Mojżesz już nie zobaczył
Siostry w pokoju u brata.

Wkrótce urzędnik z świetną fryzurą,
Stanął na ślubnym kobiercu
Z ładną panienką... Jakże ponuro,
Jak ciemno w Mojżesza sercu!

Nieraz w kantorze mu bez powodu
Łza gorzka zaćmiła oko...
Kochał, jak to się kocha za młodu,
Tając uczucie głęboko.

Uczuł dotkliwie Parjasa piętno,
Okrępowane przesądem;
Na swem nazwisku pogardę wstrętną,
Zbłoconą lichwiarskim trądem.

Nieraz — wśród przykrych wspomnień odmętów,
Dawna się rana otwiera,
Słyszy nad Wisłą ów krzyk studentów:
Bij Żyda — to syn Cwajera!

Wtedy go Władek wydostał z toni.
Lecz dziś o Władku ni wieści!...
Trzeba samemu, bez zbawczej dłoni,
Błądzić w tajnikach boleści —

Aby nie upaść; — i znów samemu
Iść dalej przez życia szranki...
Chwilowo stronił... znów po dawnemu
Żył z bratem swojej niebianki —

I z całem szkolnych kolegów gronem.
Wśród nich, przy gwarze zabawy,
Nieraz mu uśmiech błysł w zachmurzonem
Licu, zapłonął wzrok łzawy.

Wiedział, że wśród nich nie jest Parjasem,
Że ci koledzy mu braćmi...
Nie zna ten życia, komu się czasem
W życiu łzą oko nie zaćmi.

Choć czuł jak Polak, kraj kochał szczerze,
Choć myślał jak Chrześcijanie:
Ale poprzysiągł sobie, że wierze
Przodków swych, wiernym zostanie.

Choć nie pojmował Miszny, Gomory,
Kabały, ani Talmudu,
Lecz miał uczucie rzewnej pokory,
Dla wiary swojego ludu.

Jakiś mu w duszy tęsknił gwar senny,
Tułactwa w piaskach pustyni;
Gdy ujrzał świecznik siedmioramienny,
Słyszał dźwięk rogu w świątyni.

I wierzył, że jak lud ów przed wieki,
Wyrwał się z domu niewoli,
Tak z pęt przesądu, czas niedaleki,
Potomków jego wyzwoli.

I że dwa ludy, dwaj męczennicy,
Jednym przykuci łańcuchem,
Na kośćmi ojców sianej ziemicy,
Muszą zespolić się duchem.

VI.

Zbiegł dla Warszawy szereg lat nowy,
W nowego jarzma kałuży;
Wesołych — jakby śmiech gorączkowy,
Co usta stroi, pierś nuży.

Pod Mikołaja krwawymi knuty,
Lud żył jękami i gniewem,
Za Syna jego zdrzemnął — zatruty
Usypiającym wyziewem.

Lecz chory, co choć w gorączce marzy,
Jeśli posłyszy przy sobie
Cichy i zimny wyrok lekarzy,
Że może umrzeć w chorobie;

Choć niemoc tłoczy go w każdym nerwie,
Siły swe wolą natęża,
I w przesileniu z łoża się zerwie,
I wolą niemoc zwycięża.

Tak lud — gdy chytre katy mniemały,
Że go na wieki uśpiły,

Nagle się zbudził — jeszcze zbolały,
Lecz z wiedzą krzywd swych i siły.

I rzekł do katów głosem, co idzie
Jak sztylet wśród piersi kata:
Że on w rodaku swym, w bracie żydzie,
Uznaje własnego brata.

I rzekł do katów, że z szańców Pragi,
Wciąż słychać jęk mordowanych,
I stos dziecięcych trupków wciąż nagi,
Leży na piaskach wiślanych.

Że od Sybiru, od Kaukazu,
Od głuchych ścian cytadeli,
Wciąż krwi zdrój bucha... Kaci odrazu
Gradem kul odpowiedzieli.

Jak się wraz żywiej zaroi w ulu,
Gdy brzękną osy, szerszenie,
Lud się wraz ruszył po nowym bólu,
Wraz począł swe odrodzenie.

Uczuł, przy trwożnem morderstwie wroga,
Męskość w bezbronnych prawicach,
I za ból wznosił hymny do Boga,
W kościołach i po bożnicach.

I wierzył, kiedy szedł za pogrzebem
Olbrzymi orszak wśród miasta,

Że kwiat przyszłości pod jego niebem,
Już z pięciu trumien wyrasta.

W sercu Mojżesza znikł ból Parjasa,
Zcichły miłosne rozczary.
Żałobna, wielka chwili tej krasa,
Męzkie zbudziła w niem żary.

Jak po snach przykrych, co w mózgu błądzą,
Ktoby się rankiem ocucił,
Tak on z młodzieńczą do czynów żądzą,
W fale tej chwili się rzucił.

W imieniu wspólnych łez i męczeństwa,
Tłumy rozlicznych żydziaków,
W pejsach, bez pejsów — na nabożeństwa,
Wiódł do kościołów Polaków.

Mówił, że Mesyasz ów, co tęsknota
Wieków, przyzywa go z płaczem,
Zjawił się, że nim naród-sierota —
Zbratan z plemieniem tułaczem.

Nieraz drżąc, współwyznawcy słuchali,
Jak z oburzeniem namiętnem,
Mojżesz nikczemne mordy Moskali,
Wzgardliwem naznaczał piętnem.

Lecz raz wskazując im swoje ramię,
Zranione wśród rzezi Kwietnia,

Tak swym zapałem bojaźń ich łamie,
Tak męztwo w nich uszlachetnia —

Że zabrzmiał głośny szwargot w cukierni,
Gdzie zebrał swych towarzyszy:
— Mosze! mów ciszej, my już ci wierni,
My co chcesz zrobim, mów ciszéj!

Aż wreszcie stary Cwajer zaczyna
Podnosić głowę do góry,
Wiedząc, iż tylko dla zasług syna,
Dotąd nie zbito mu skóry...

I czy to grzbiet miał nazbyt łechtliwy,
Czy że o synu pamięta,
Dla biednych — jako pan dobrotliwy —
O grosz obniżył procenta.

VII.

Chmurno... Śnieg ściele mokre kobierce
I łzami opada z krzaków,
Garstka powstańców na tyraljerce,
Wstrzymuje napad kozaków.

Padło szkap kilka z rżeniem ponurem,
I kilku z Dońskiej hołoty,
Pierzchli... lecz z za ich straszydłem burem
Powstaje szereg piechoty.

I wraz do cynglów przytknąwszy palce,
Chmarą kul plwa do zarośli;
Rozpierzchli Dońce — jakby padalce...
Naraz skupili się, zrośli —

I splot swój łamiąc na skrzydeł dwoje,
Pędzą śród śnieżnej zamieci,
A tu zaledwie po dwa naboje
W oddziale powstańczych dzieci!

Zgłodniałe konie jeszcze łby rzucą
Weselej niż ludzkie twarze;
Po cichu pieśni nabożne nucą
Zziębli, wpół bosi kosiarze.

Patrząc na puste swe ładownice,
Zgrzytają strzelce, żuawy,
A śnieg wciąż gęstszy pada im w lice,
Bliższy krzyk Dońskiej czarniawy.

— Naprzód! bo Moskwa da nam cios dyabli!
Do Naczelnika półgłosem
Szepnął oficer, wsparty na szabli,
Wesołych oczu, z blond włosem.

Dwór mu zrównali z ziemią Moskale,
Spalili wieś buntowszczyka...
Od wczoraj zjawił się w tym oddziale
I tylko znał Naczelnika.

Naczelnik chwilę rady rozważy,
I odrzekł mu po namyśle:
— To, Władysławie, prowadź kosiarzy,
Strzelców na tyły im wyślę! —

Władysław kosę do ręki chwyta,
Wznosząc ją, krzyknie potężnie:
— Hej! wiara! nim nas Moskwa przywita,
My powitajmy ją mężnie!

Jak wojennego marszu dźwięk twardy,
Głos ten orzeźwia żołnierza,
Tłum kos się ciśnie do awangardy
I z głośnem »hurra« uderza.

A gdy z zarośli nagle się sunie,
Gdy kosy szczękną gromadą;
Znów się rozpierzchli na bok Kozunie,
Jakby spłoszonych wron stado.

Ale wciąż gryzą i trapią z boku,
Gdy garstka drze się przez błota,
Wciąż zdala celnie dzierży na oku,
Praży moskiewska piechota.

Władysław biegnąc przodem szeregu,
Wpada do kolan w mokradło,
Skacze, lecz kiedy stanął na brzegu,
Trzech Dońców nagle nań wpadło.

Kosiarze za swym dowódcą biegą,
A z krzykiem najpierwszy goni
Wysmukły Żuaw, lica śniadego —
I własną piersią go słoni.

Dońce ku grzywom schyliwszy karki,
Pierzchają jakby kurzawa;
Jeden z nich zdala zmierzył z janczarki
I z nóg powalił Żuawa.

Wtem nagle z boru, w piechoty tyle,
Słychać — padają wystrzały.
Myśląc, że odsiecz, Moskwa w tę chwilę
Trąbi odwrotu sygnały...

I trwożnie po tem spotkaniu krwawem,
Cofa się w bór brzegiem rzeki...
Władysław schyla się nad Żuawem,
Który miał zwarte powieki.

Zmywa mu śniegiem zimny pot z czoła,
Krew, która piersi mu broczy,
Żuaw odetchnął, zwrócił do koła
Zdumione, senne wpół oczy.

Lecz wtem z tych źrenic czarnych, ognistych,
Po śniadem, męskiem obliczu,
Spłynęło kilka łez potoczystych
I rzekł: — Bóg zapłać paniczu!

— Takem już panu raz podziękował,
Jeszczem dziecięciem był prawie,
Gdyś mnie biednego Żydka ratował
Z Wisły, z pod lodu, w Warszawie.

— Toś Pan! toś Mosiek? bracie kochany!
Rzewnie dźwiękł głos Władysława;
Lecz krew strumieniem trysnęła z rany,
Zwarły się oczy Żuawa.

VIII.

Znowu lat parę łez i ucisku,
Czas krwawym zorał lemieszem;
W biednem poddaszu, w obcem mieścisku,
Mieszkał Władysław z Mojżeszem.

Kiedy wracali po twardej pracy,
Do gniazdka swego pod niebem,
Jakże się bratnio dwaj ci rodacy,
Dzielili sercem i chlebem!

Władysław przedtem był wsi dziedzicem,
Mojżesz miał ojca bogacza:
Lecz w obcej ziemi los mdłym księżycem,
Przyświeca doli tułacza.

Ze wsi została kupa popiołów,
Lichwiarz nie pisał do syna...

Czasem śród żmudnych, drobnych mozołów,
Tak męczy każda godzina!

Tak smutno, gdy się marzenie garnie,
Gdy myśl już tęskni w rozkwicie,
Codziennie walczyć a walczyć marnie,
O czcze, codzienne swe życie!

Trudno! nie zawsze los lekkiem kołem
Toczy się w gładkiej przestrzeni;
W kim czyste serce, ten z czystem czołem,
Stąpa swą drogą z kamieni.

Szczęsny, gdy bratni głos go pociesza,
Choć wróg go kąsa tajemnie...
Tak to Władysław cieszył Mojżesza,
Tak Mojżesz jego wzajemnie.

Czuli, że to ich bratnie przymierze,
Jak godło związku dwóch ludów,
Krwią wspólną zlane, silnie a szczerze,
Dotrwa wśród cierpień i trudów.

I dotrwa święta wiara w wygnańcach,
W tych braciach z serca i broni,
Że jeszcze staną na wrogów szańcach,
I będą walczyć dłoń w dłoni.

Ogniem tej wiary kto grzeje siebie,
Choć los mu mgławo przyświeca,

Temu nie głodno o suchym chlebie,
Nie zimno w izbie bez pieca.

Temu tęsknota daje łzy czyste,
Sny rzewne po troskach dniowych,
Snując mu Wisły brzegi piaszczyste,
Tchnąc szumem borów sosnowych...

IX.

A stary Cwajer? — Pan milionowy —
Wystawniej żyć rozpoczyna.
Ogolił brodę, zdjął krymkę z głowy,
Ni grosza nie dał dla syna.

Na ucho jednak chasydom prawił:
— Mojsze? on głąb do szacherek,
Ale się Mojsze w powstaniu wsławił,
Jak kiedyś wielki nasz Berek. —

A Ruryk? Jak już raz w profesory
Go przerzucili z huzara,
Tak z profesora w człony komory
Granicznej, — ukazem Cara.

Szybko — jak zwykle człowiek uczony —
Zbadał tej służby tajniki.
I z tej i z tamtej granicy strony,
Cenili go szwarcowniki.

Kiedyś on lubił piać przy gitarce,
I dotąd muzykę cenił,
Więc się zakochał w pulchnej arfiarce,
I wkrótce z nią się ożeuił.

Kupił wioseczkę z ładniutkim dworem.
By dziatki miały zabawkę.
Groziło śledztwo... w sam czas z honorem
Wziął z celnej służby odstawkę.

Nie chcąc być członkiem urządzającej,
Ani też śledczej komisyi:
Siedzi w swej wiosce, pośród krzyczącej
Dziatwy, wesoły w dymisyi.

Choć mniej smakuje w czaju i wódkach,
A bardziej hołduje winu,
Zawsze na jego nosa jagódkach,
Przeważa barwa rubinu.

Włodzimierz Wolski.

CMENTARZ ŻYDOWSKI W PRADZE.

Klucz skrzypnął w zamku, otwarła się brama:
Klucznik schylony, lecz z iskrzącym wzrokiem,
Tajemniczy, jak całe plemię Abrahama,
Wiódł nas na cmentarz w milczeniu głębokiem.
Możeś ty widział Paryskie cmentarze,
Lub w innych miastach nasze śmierci pola?
Możeś podziwiał kaplice, ołtarze,
Nad które smukła wystrzela topola?...
Marmurem zdobny, jak mury pałaców,
Ów gród umarłych, jak gród żywych dumny:
Ma swe ogrody, fontanny wśród placów,
Ma swe świątynie, posągi, kolumny,
Z wieńcami kwiatów, z kląby zielonemi,
Na szczycie góry, z rozległym widokiem:
Już bliżej nieba, choć jeszcze na ziemi,
Obraz spoczynku roztacza przed okiem.
Tutaj nic z tego. Ścieżka wydeptana
Kręto się wije wśród ostów i cierni,
Stróżowi tylko mogilnika znana;
Za nim zdążają ciekawi lub wierni.

Po obu stronach kamienie omszone,
Wpół pochylone, osadzone krzywo,
Jak gdyby dłonie tam drżały, naglone
Spełnić obrządek i uciec co żywo!
Cyprys, topola tu w niebo nie strzela,
Wśród zżółkłej trawy nie wonieje kwiecie;
Lecz rosną jakieś tajemnicze ziela,
Co duszy mówią wciąż o innym świecie.
Na grobach ryte niepojęte słowa;
Nie wiesz, kto leży — starzec czyli dziecię?
Dla wielu podwójnie czarna noc grobowa!
A tak ściśnięci! Kamień do kamienia,
Brat śpi przy bracie, może wróg przy wrogu;
W głąbbyś wygrzebał całe pokolenia...
Straszna ta otchłań widna tylko Bogu!
Lecz się odrazu w twej myśli wyryją
Słowa grobami jasno wypisane:
»Wygnańcy!« Oni wspomnieniami żyją,
Płacząc swe żyzne pola obiecane!
I cóż się tutaj owym zmarłym marzy,
Przez długie wieków minionych szeregi?
Może wracają do ojców ołtarzy,
Może wracają na rodzinne brzegi?
Może też w chwili rozkosznej złudzenia,
Sądzą, że palma ich czoła ocienia?!...
Bo i któż zgłębi, odsłoni, odgadnie,
Ile rozpaczy śpi w tych sercach na dnie,
Co dziś w proch padły, które robak toczy?
Ile wściekłości, zemsty i boleści

Było w ich życiu? A ile się zmieści,
Powiedzą jeszcze dzisiaj żyda oczy!
Gdzieniegdzie tylko, jak gdyby w rozbiciu
Maszt okrętowy, większy grób widnieje,
Rabbi — kapłana — a którego dzieje
Napis opiewa: iż on w swojem życiu
Był sprawiedliwym!...
O dziwny narodzie,
Co miewasz świętych, chociaż nie masz nieba!
Cnota twych synów ciebie nie odrodzi,
Płynie ci złoto, a braknie ci chleba.
Męczeństwa twoje nie biorą nagrody,
Krew twa co płynie nie waży na szali,
Wzgardą ścigają was wszystkie narody,
Chociaż pół światu Boga wyście dali!

Jest kres wszystkiemu, cierpieniu jest miara,
Bóg karze ludy i znowu podnosi,
Wasza jest tylko bez końca ofiara,
Zwolnienia żadna prośba nie wyprosi!
Wieku za wiekiem przemija godzina,
A w bycie waszym nic się nie odmienia.
Jeden lud skończy, wnet drugi zaczyna
Nowej katuszy ważyć wam cierpienia!...
Lecz cóż to znaczy? Czyżby wam jedynie
Sprawiedliwości zabrakło tam, w górze?
O nie! wspomnijcie, jak w strasznej godzinie
Konał na krzyżu w krwi swojej purpurze
Człowiek — i brat wasz — i syn waszych króli —

A ojce wasi wołali nieczuli:
»Krew jego — na nas i na syny nasze!«
I krew ta spadła, pali czoła wasze,
Ciąży na barkach i tłoczy ku ziemi,
Spada na oczy zasłony ciemnemi!...

Lecz lud nie jeden zapoznał proroki,
Nie jeden przelał krwi świętej potoki,
A każdy dosiągł przebaczenia proga,
Bo żaden z ludów nie umęczył Boga!

Julian z Poradowa.

KONCERT JANKIELA.

(Z »PANA TADEUSZA«).

Na dziedzińcu zamkowym już stali parami,
Oficery z damami, wiara z wieśniaczkami.
Poloneza! krzyknęli wszyscy w jedno słowo.
Oficerowie wiodą muzykę wojskową,
Ale pan Sędzia w ucho rzekł do Jenerała:
»Każ Pan, żeby się jeszcze kapela wstrzymała.
Wiesz, że dzisiaj synowca mego zaręczyny,
A dawnym obyczajem jest naszej rodziny,
Zaręczać się i żenić przy wiejskiej muzyce.
Patrz, stoi cymbalista, skrzypak i kozice,
Poczciwi muzykanci; już się skrzypak zżyma,
A kobeźnik kłania się i żebrze oczyma:
Jeżeli ich odprawię, biedni będą płakać;
Lud przy innej muzyce nie potrafi skakać,
Niechaj ci zaczną; niech się i lud podweseli;
Potem będziem wybornej twej słuchać kapeli«.
Dał znak.

Skrzypak u sukni zakasał rękawek,
Ścisnął gryf krzepko, oparł brodę u podstawek

I smyk jak konia w zawód puścił po skrzypicy.
Na to hasło stojący obok kobeźnicy,
Jak gdyby w skrzydła bijąc, częstym ramion ruchem
Dmą w miechy i oblicza wypełniają duchem;
Myśliłbyś, że ta para w powietrze uleci,
Podobna do pyzatych Boreasza dzieci.
Brakło cymbałów.

Było cymbalistów wielu,
Ale żaden z nich nie śmiał zagrać przy Jankielu.
Jankiel, przez całą zimę nie wiedzieć gdzie bawił,
·Teraz się nagle z głównym sztabem wojska zjawił.
Wiedzą wszyscy, że mu nikt na tym instrumencie
Nie wyrówna w biegłości, w guście i talencie;
Proszą, ażeby zagrał, — podają cymbały,
Żyd wzbrania się, powiada że ręce zgrubiały,
Odwykł od grania, nie śmie i panów się wstydzi;
Kłaniając się, umyka. Gdy to Zosia widzi,
Podbiega i na białej podaje mu dłoni
Drążki, którymi zwykle mistrz we struny dzwoni;
Drugą rączką po siwej brodzie starca głaska
I dygając: — Jankielu — mówi — jeśli łaska,
Wszak to me zaręczyny, zagraj-że Jankielu,
Wszak nieraz przyrzekałeś grać na mem weselu.
Jankiel niezmiernie Zosię lubił; kiwnął brodą
Na znak, że nie odmawia; więc go w środek wiodą,
Podają krzesło, usiadł, cymbały przynoszą,
Kładą mu na kolanach. On patrzy z rozkoszą
I z dumą, jak weteran w służbę powołany,

Gdy wnuki, ciężki jego miecz ciągną ze ściany:
Dziad śmieje się, choć miecza dawno nie miał w dłoni,
Lecz uczuł, że dłoń jeszcze nie zawiedzie broni.

Tymczasem dwaj uczniowie przy cymbałach klęczą,
Stroją na nowo struny i próbując brzęczą;
Jankiel z przymrużonemi na poły oczyma —
Milczy i nieruchome drążki w palcach trzyma.

Spuścił je. Zrazu bijąc taktem tryumfalnym,
Potem gęściej siekł struny jak deszczem nawalnym,
Dziwią się wszyscy. Lecz to była tylko proba,
Bo wnet przerwał i w górę podniósł drążki oba.

Znów gra. Już drgają drążki, tak lekkimi ruchy,
Jak gdyby zadzwoniło w strunę skrzydło muchy,
Wydając ciche, ledwie słyszalne brzęczenia.
Mistrz zawsze patrzył w niebo czekając natchnienia,
Spojrzał z góry, instrument dumnem okiem zmierzył,
Wzniósł ręce, spuścił razem, w dwa drążki uderzył:
Żdumieli się słuchacze.

Razem ze strun wiela,
Buchnął dźwięk, jakby cała janczarska kapela
Ozwała się z dzwonkami, z zelami, z bębenki.
Brzmi: »Polonez Trzeciego Maja!« Skoczne dźwięki,
Radością oddychają, radością słuch poją,
Dziewki chcą tańczyć, chłopcy w miejscu nie dostoją;
Lecz starców myśli z dźwiękiem w przeszłość się uniosły,

W owe lata szczęśliwe, gdy senat, gdy posły,
Po dniu Trzeciego Maja, w ratuszowej sali,
Zgodzonego z narodem króla festowali.
Gdy przy tańcu śpiewano: »Wiwat Król kochany,
Wiwat Sejm, wiwat Naród, wiwat wszystkie stany!«

Mistrz coraz takty nagli i struny natęża,
A wtem puścił fałszywy akord jak syk węża,
Jak zgrzyt żelaza po szkle; przejął wszystkich dreszczem,
I wesołość pomieszał przeczuciem złowieszczem.
Zasmuceni, strwożeni słuchacze zwątpili,
Czy instrument niestrojny, czy się muzyk myli?
Nie zmylił się mistrz taki! On umyślnie trąca
Wciąż tę zdradziecką strunę, melodyę zmąca,
Coraz głośniej targając akord rozdąsany,
Przeciwko zgodzie tonów skonfederowany.
Aż klucznik pojął mistrza, zakrył ręką lica,
I zawołał, znam głos ten, to jest »Targowica!«
I wnet pękła ze świstem struna złowróżąca...

Muzyk bieży do prymów, urywa takt, zmąca,
Porzuca prymy, bieży z drążkami do basów:
Słychać tysiące coraz głośniejszych hałasów;
Takt marszu, wojna, atak, szturm; słychać wystrzały,
Jęk dzieci, płacze matek... Tak mistrz doskonały,
Wydał okropność szturmu, że wieśniaczki drżały,
Przypominając sobie ze łzami boleści
»Rzeź Pragi«, którą znały z pieśni i z powieści,

Rade, że mistrz nakoniec strunami wszystkiemi
Zagrzmiał — i głosy zdusił, jakby wbił do ziemi.

Ledwie słuchacze mieli wyjść czas z zadziwienia,
Znowu muzyka inna; znów zrazu brzęczenia
Lekkie i ciche; kilka cienkich strunek jęczy,
Jak kilka much, gdy z siatki wyrwą się pajęczej.
Lecz strun coraz przybywa. Już rozpierzchłe tony
Łączą się i w akordów wiążą legiony,
I już w takt postępują zgodzonymi dźwięki,
Tworząc nutę żałosną tej sławnej piosenki:
»O żołnierzu, tułaczu, który borem, lasem,
Idzie, z biedy i głodu przymierając czasem,
Nakoniec pada u nóg konika wiernego,
A konik nogą grzebie mogiłę dla niego!«
Piosenka stara, wojsku polskiemu tak miła!
Poznali ją żołnierze; wiara się skupiła
Wkoło mistrza; słuchają, wspominają sobie,
Ów czas okropny, kiedy na ojczyzny grobie
Zanucili tę piosnkę i poszli w kraj świata;
Przywodzą na myśl długie swej wędrówki lata,
Po lądach, morzach, piaskach gorących i mrozie,
Pośrodku obcych ludów, gdzie nieraz w obozie
Cieszył ich i rozrzewniał ten śpiew narodowy...
Tak rozmyślając, smutnie pochylili głowy.
Ale wnet je podnieśli, bo mistrz tony wznosi,
Natęża, takty zmienia, coś innego głosi.
I znowu spojrzał z góry, okiem struny zmierzył,
Złączył ręce, oburącz w dwa drążki uderzył:

Uderzenie tak sztuczne, tak było potężne,
Że struny zadzwoniły jak trąby mosiężne,
I z trąb znana piosenka ku niebu wionęła,
Marsz tryumfalny: »Jeszcze Polska nie zginęła!
Marsz Dąbrowski do Polski!« I wszyscy klasnęli,
I wszyscy — Marsz Dąbrowski — chórem okrzyknęli.
Muzyk, jakby sam swojej dziwił się piosence,
Upuścił drążki z palców, podniósł w górę ręce,
Czapka lisia spadła mu z głowy na ramiona,
Powiewała poważnie broda podniesiona,
Na jagodach miał kręgi dziwnego rumieńca,
We wzroku ducha pełnym, błyszczał żar młodzieńca;
Aż gdy na Dąbrowskiego starzec oczy zwrócił,
Zakrył rękami, z pod rąk łez potok się rzucił:
— Jenerale! — rzekł — Ciebie długo Litwa nasza
Czekała długo, jak my Żydzi Mesyasza...
Ciebie prorokowali dawno między ludem
Śpiewaki, Ciebie niebo obwieściło cudem.
Żyj i wojuj! o! Ty nasz!... — Mówiąc ciągle szlochał;
Żyd poczciwy Ojczyznę jako Polak kochał.
Dąbrowski mu podawał rękę i dziękował,
On, czapkę zdjąwszy, wodza rękę ucałował.

Adam Mickiewicz.

HAJS MARONY.

—

Pogaszono latarnie dokoła,
Miasto w senną zapadło już ciszę,
Tylko z rogu głos ochrypły woła:
Hajs' marony! hajse! hajse! frisze!

Noc tężeje, jak na mrozie smoła,
Z szynków wyszli ostatni hołysze,
Lecz rzęrzenia nic stłumić nie zdoła:
Hajs' marony! hajse! hajse! frisze!

Żydowico! wargi twe już sine,
Płuco rwie się od zbytniej chciwości,
Grzbiet się ściągnął, jak skulonej plisze;

Sam ci Rotszyld zysków pozazdrości!
Czas do domu, pod ciepłą pierzynę!
— Wolne żarty!... Hajse! hajse! frisze!

Jan Kasprowicz.

DOWÓD.

(Z LEGEND ŻYDOWSKICH).

—

Nauczał Rabi poganina:
— Patrz, to jest Alef a to Beth. —
I mniemał, że ów bałwochwalca
Rzecz taką prostą pojmie wnet.

Lecz Pers uparty kręci głową
I rzecze: (a widocznie drwi).
— Że Alef — Alef, nie uwierzę,
Dopóki nie dowiedziesz mi.

Rabi pogładził brodę siwą,
(Bardzo poważny zawsze był).
A potem Persa wziął za ucho
I zaczął ciągnąć z całych sił.

— Aj! moje ucho!... Pers wykrzyknie.
— Ucho? rzekł Rabi, czekaj no!
Mówisz, że to się zowie ucho,
A gdzież dowody na to są?

Umilkł gwiazd czciciel zawstydzony
I oczu w górę nie śmiał wznieść.
Uczył się pilnie, i po latach
Mógł już zrozumieć pisma treść.

Dla tych półmędrków, co w dzień biały,
Chcą wmawiać w ludzi, że jest noc:
Metoda Rabi Salomona,
Jedynie ma skuteczną moc.

Klemens Junosza.

MODLITWA ŻYDÓW WARSZAWSKICH

W 1861 R.

Boże, coś wieki Izraela naród,
Prowadził drogą wytrwania i próby,
Coś w pierś mu rzucił ten jedności zaród,
By go podnosił i chronił od zguby:
Dziś lud ten biedny, co przecierpiał tyle,
W żałobie błaga o szczęśliwsze chwile!

Boże, racz wejrzyć na biednych Polaków!
Minął rok ofiar, boleści i kary;
Ale na grobie poległych rodaków, *
Rozwinęliśmy braterstwa sztandary!
Syn Izraela na świeżej mogile,
Błaga Cię, Panie! o szczęśliwsze chwile!

---

* Mowa tu o grobie pięciu ofiar, poległych w dniu 27 lutego 1861 r. na ulicach Warszawy. W pogrzebie ich brali liczny udział przedstawiciele żydów polskich, z rabinami Jastrowem i Meiselsem na czele.

Racz związać, Boże! na wieki dwa ludy,
Co krwią i łzami już dziś są związane;
Razem niech znoszą katusze i trudy,
Niech razem goją otwartą znów ranę...
Boże! na wspólnej, na wielkiej mogile,
Błagamy Ciebie, o szczęśliwsze chwile!

Ufajcie bracia! Przyjdą dni łaskawsze,
Zabłyśnie tęcza, ucichnie zawieja;
Niech godłem dla nas zostaną na zawsze:
Jedność i Miłość, Wiara i Nadzieja!
Boże! na wspólnej, na wielkiej mogile,
Błagamy Ciebie, o szczęśliwsze chwile!

J. N. J.

NAKŁADEM KSIĘGARNI H. ALTENBERGA WE

wyszły następujące prace

WŁADYSŁAWA BEŁZY.

	K	h.
Antologia poetów polskich. Wybór najcelniejszych utworów ze stu poetów polskich. Czwarte wydanie pomnożone, ozdobione rysunkami Jana Bukowskiego. W ozdobnej oprawie	8	—
Ojczyzna w pieśniach poetów polskich. Głosy poetów o Polsce	3	20
W ozdobnej oprawie	4	—
Katechizm dziecka polskiego. Z illustracyami kolorowemi J. Męciny Krzesza	4	–
Matka. Dwanaście obrazków z naleńkiego świata. Z illustracyami J. Męciny Krzesza	4	—
Księga aforyzmów, myśli, zdań, uwag i sentencyi, ze stu pisarzy polskich wybranych. W ozdobnej oprawie	2	40